

Classics To Go

THE SHADOW
OVER INNSMOUTH

WIDMO NAD INNSMOUTH

H. P. Lovecraft

A dark, atmospheric illustration of a monstrous creature with glowing eyes and sharp teeth, set against a stormy, dark sky over a rocky landscape.

H.P. LOVECRAFT

WIDMO NAD INNSMOUTH

(THE SHADOW OVER INNSMOUTH)



WIDMO NAD INNSMOUTH

.I.

Zimą z 1927 na 1928 rok przedstawiciele rządu federalnego przeprowadzili dziwne i tajemnicze śledztwo w sprawie pewnych okoliczności, jakie miały miejsce w starym porcie Innsmouth w Massachusetts. Po raz pierwszy usłyszano o tym w lutym, kiedy dokonano całej serii obław i aresztowań, a następnie spalono i wysadzono dynamitem – przy zachowaniu odpowiednich środków ostrożności – ogromną ilość rozpadających się i zjedzonych przez korniki, najprawdopodobniej opustoszałych domów nad brzegiem morza, gdzie od dawna nikt nie zaglądał. Mniej dociekliwi potraktowali to jako jedną z większych akcji w walce z alkoholizmem.

Ci, którzy baczniej śledzili wszelkie nowiny, dziwili się tak olbrzymią ilością aresztowanych, tak wielką siłą zmobilizowaną do przeprowadzenia tej akcji i tajemnicą, jaką otoczono dalsze losy więźniów. Nie było żadnej rozprawy sądowej, żadnego sprecyzowanego oskarżenia; nie widziano też nikogo ze schwytanych w żadnym z lokalnych aresztów. Dochodziły jakieś mgliste wieści o chorobie i obozach koncentracyjnych, a potem, o osadzeniu tych więźniów w różnych obozach wojskowych, ale nic konkretnego. Innsmouth zostało prawie całkiem wyludnione i nawet jeszcze teraz niełatwo tam dostrzec ślady budzącego się życia.

Ponieważ spotkało się to z protestem różnych liberalnych organizacji, po długich i tajemniczych dyskusjach zawieziono niektórych ich przedstawicieli do kilku obozów i więzień. W konsekwencji stowarzyszenia te stały się dziwnie bierne i powściągliwe. Dziennikarze zajmowali bardziej zdecydowane stanowisko, ale wszystko wskazywało na to, że większość z nich w końcu zaczęła współdziałać z rządem. Tylko jedno ilustrowane pismo, zawsze dyskredytowane z powodu zamieszczania nierzetelnych informacji, wspomniało coś o łodzi podwodnej, która wystrzeliła torpedy w głąb rozpadliny morskiej tuż za Diabelską Rafą. Fakt ten, o którym przypadkowo usłyszano w marynarskiej speluncie, zdawał się raczej mało prawdopodobny, ponieważ ta niska, czarna rafa leży jakieś półtorej mili od portu Innsmouth.

W całej okolicy i pobliskich miastach bezustannie szeptano na ten temat, ale nie dzielono się tymi uwagami z nikim z zewnątrz. Prawie przez całe stulecie rozprawiano o zamierającym i opustoszałym Innsmouth i choćby wymyślono coś nowego, nie mogłoby to dorównać temu koszmarowi, o jakim napomykano i szeptano od lat. Wiele powodów przyczyniło się do skrytości tutejszych ludzi, toteż nie było sensu wywierać na nich presji. Poza tym, tak naprawdę to niewiele wiedzieli, gdyż rozległe, słone bagniska, puste i bezludne, odstraszały od Innsmouth okolicznych mieszkańców, tych od strony lądu.

Wobec tego ja przełamie ów zakaz mówienia o tej sprawie. Wyniki – a jestem o tym głęboko przekonany – są tak niewątpliwe, że napomknięcie o tym, co zostało odkryte podczas strasznej obławy w Innsmouth, nie może przynieść żadnej szkody, może tylko wzbudzić potworną odrazę. A to, co zostało odkryte, różnie można interpretować. Nie mam pojęcia, jak dużo z tej opowieści zostało mi przekazane, ale wiele mam powodów ku temu, aby głębiej wniknąć w tę sprawę. Zetknąłem się z nią znacznie bliżej, niż

komukolwiek przypadło to w udziale, i wyniosłem wrażenia, które mogą mnie jeszcze doprowadzić do nieprzewidzianych sytuacji.

To właśnie ja uciekłem w popłochu z Innsmouth we wczesnych godzinach rannych 16 lipca 1927 roku i to właśnie moje prośby, skierowane do władz o przeprowadzenie śledztwa i aktywną działalność, wyłoniły na światło dzienne wspomniany epizod. Nie miałem nic przeciw temu, by milczeć, gdyż sprawa była świeża i niejasna; teraz jednak, kiedy należy już do przeszłości, kiedy wygasło zainteresowanie i ciekawość ludzi, zawładnęło mną dziwne pragnienie, aby mówić o tych strasznych godzinach w owym widmowym porcie śmierci i bluźnierczej niesamowitości. Samo mówienie o tym pomaga mi odzyskać wiarę w moja sprawność umysłową; upewnić się, że nie jestem pierwszym, który uległ tej zaraźliwej, koszmarnej halucynacji. Pomaga mi też w podjęciu decyzji co do pewnego straszego kroku, jaki mam zrobić w niedalekiej przyszłości.

Nigdy nawet nie słyszałem o Innsmouth, aż do owego dnia, kiedy ujrzałem je po raz pierwszy I... jak dotąd... po raz ostatni. Postanowiłem uczcić moje dojście do pełnoletności wycieczką do Nowej Anglii – zwiedzanie o charakterze antykwarycznym i genealogicznym – zaplanowałem jechać prosto ze starego Newburyport do Arkham, skąd wywodziła się rodzina mojej matki. Nie miałem samochodu, podróżowałem więc pociągiem, trolejbusem i autobusem, starając się zawsze o jak najtańszy środek lokomocji. W Newburyport poinformowano mnie, że najlepiej jechać do Arkham pociągiem; i dopiero przy kasie biletowej na stacji, kiedy trochę się zastanawiałem nad wysoką ceną biletu, dowiedziałem się o Innsmouth. Postawny kasjer o bystrym wyrazie twarzy, którego akcent świadczył o tym, że pochodzi z innych stron, zdawał się rozumieć moje oszczędnościowe zabiegi i zaproponował mi coś, czego poprzednio żadna z osób, u których się informowałem, nie zrobiła.

– Mógłby pan, wydaje mi się, pojechać starym autobusem – powiedział z pewnym wahaniem – tylko że w tych stronach nikt go nie uznaje. Jedzie przez Innsmouth – pewnie pan coś o tym słyszał – dlatego ludzie nie lubią go. Prowadzi go facet z Innsmouth – Joe Sargent – chyba nie ma tu w ogóle pasażerów ani też w Arkham. Dziwne, że ten autobus jeszcze jeździ. Wydaje mi się, że jest tani, ale nigdy nie widuję w nim więcej niż dwie, trzy osoby, wyłącznie ludzie z samego Innsmouth. Odjeżdża z rynku – sprzed drogerii Hammonda – o dziesiątej rano i o siódmej wieczorem, o ile się coś ostatnio nie zmieniło. Wygląda na straszego gruchota, sam nigdy jeszcze nim nie jechałem.

Wtedy to właśnie po raz pierwszy usłyszałem o Innsmouth. Każda wzmianka o mieście, nie zaznaczonym na mapie ani też nie wspomnianym w ostatnich przewodnikach, wzbudziłyby moje zainteresowanie, a dziwne aluzje kasjera naprawdę mnie zaciekały. Miasto, które mogło rodzić taką niechęć okolicznych mieszkańców, musi być w jakiś sposób niezwykle i warte choćby zwrócenia nań uwagi turysty. Jeśli znajduje się po drodze do Arkham, to po prostu wcześniej wysiądę. Poprosiłem kasjera, żeby mi coś opowiedział o tym mieście. Zamyślił się, po czym zaczął mówić jakby z poczuciem pewnej wyższości:

– Innsmouth? No cóż, dziwne to miasto, położone przy ujściu rzeki Manuxet. Niegdyś było to całkiem duże miasto, a przed wojna, przed 1812 rokiem, miasto portowe, ale w ciągu stu lat rozpadło się. Nie jeździ tam teraz kolej... Główna linia nigdy tamtędy nie prowadziła, a boczna, z Rowley, została skasowana przed laty.

Jest tam więcej pustych domów niż ludzi, nic się tam nie robi poza łowieniem ryb i homarów. A sprzedają swoje połowy albo w Arkham, albo w Ipswich. Niegdyś było tam sporo fabryk, ale nic z nich nie zostało, jest tylko rafineria złota, pracująca na minimalnych obrotach.

Kiedyś ta rafineria była ogromna, a jej właściciel, stary Marsh, musi być bogatszy niż Krezus. Ale to straszny dziwak, nie rusza się z domu. Podobno ma jakąś skórnią chorobę albo też na stare lata coś go pokręciło i dlatego trzyma się z dala od ludzi. Jest wnukiem kapitana Obeda Marsha, założyciela rafinerii. Matka jego była cudzoziemką – powiadają, że pochodziła z wysp na Morzu Południowym – dlatego zrobił się straszny szum, kiedy pięćdziesiąt lat temu ożenił się z jakąś dziewczyną z Ipswich. Zawsze robi się taki szum, gdy chodzi o ludzi i Innsmouth, a w tych okolicach każdy, w którego żyłach płynie krew mieszkańca Innsmouth, stara się to ukryć. Jednak dzieci i wnuki Marsha wyglądają tak samo jak wszyscy. Kiedyś mi je pokazano, ale prawdę mówiąc starszych jego dzieci już ostatnio się tu nie spotyka. Starego nigdy jeszcze nie widziałem.

Ale dlaczego wszyscy mają taką niechęć do Innsmouth? Radzę, młody człowieku, abyś nie zważał no to, co się tutaj opowiada. Trudno ludzi nakłonić, żeby coś mówili, ale jak już raz zaczną, nie ma końca. Opowiadają różne rzeczy o Innsmouth, najczęściej szeptem, i to od stu lat, a boją się, jak chyba niczego na świecie. Niektóre ich opowieści mogłyby pana ubawić – na przykład o kapitanie Marshu, który wszedł w układy z diabłem i z samego piekła sprowadzał demony do Innsmouth, albo o oddawaniu czci samemu szatanowi i składaniu strasznych ofiar w jakimś miejscu koło portu, na które ludzie się natknęli podobno w 1845 roku czy mniej więcej w tym czasie – ale ja pochodzę z Paton, Vermont, i w tego rodzaju historie nie wierzę.

Powinien pan jednak posłuchać, co mówią ludzie, pamiętający dawne czasy, o czarnej rafie przybrzeżnej – nazywają ją Diabelską Rafą. Od dawna sterczy nad powierzchnią wody i prawie nigdy się nie kryje, a mimo to trudno by ją nazwać wyspą. Krąży opowieść, że niekiedy widać na niej cały

legion diabłów – wylegują się tam albo też wlatują do jakichś pieczar na jej szczycie i wylatują. Powierzchnia tej rafy jest nierówna i wyboista, a rozciąga się w morze dobrą milę. Kiedyś, jak jeszcze przyływały tu statki, marynarze nakładali kawał drogi, żeby ją tylko ominąć.

Oczywiście marynarze nie pochodzący z Innsmouth. Mieli oni za złe kapitanowi Marshowi, że podobno w nocy cumował przy tej rafie, kiedy była odpowiednia fala. Chyba rzeczywiście tak robił, bo ukształtowanie tej skały jest ciekawe, no i szukał tam zapewne piratów, a być może nawet i znajdował. Mówiło się jednak o jego kontaktach z diabłami. W sumie, wydaje mi się, że to właśnie kapitan przyczynił się do tak złej reputacji rafy.

Działo się to jeszcze przed wielką epidemią w 1846 roku, kiedy to wywieziono co najmniej połowę mieszkańców Innsmouth. Nie stwierdzono, co to była za choroba, prawdopodobnie przywleczono ją statkiem z innych krajów, może z Chin albo jeszcze z innych stron. Okropne to było – zupełne szaleństwo, wyczyniano tam takie rzeczy, że na pewno nie wszystkie wieści o tamtejszych poczynaniach przedostały się poza miasto, które zostało w strasznym stanie. Ci ludzie już nigdy nie wrócili, a teraz nie ma tam więcej niż trzystu albo czterystu mieszkańców.

Ale najbardziej istotne jest to, że ludzie czują jakieś uprzedzenie rasowe – i wcale tego nie potępiam. Sam też nie cierpię ludzi z Innsmouth i nie mam ochoty nawet wybrać się do tego miasta. Myślę, że się pan orientuje – choć po pańskim akcencie wnioskuję, że pochodzi pan z Zachodu – jak częste kontakty miały nasze statki z Nowej Anglii z różnymi najdziwniejszymi portami w Afryce, Azji, na południowych morzach i w różnych innych częściach świata i jak dziwnych ludzi czasami stamtąd przywożono. Może słyszał pan o Salemie, który przywiózł sobie Chinę za żonę, a także o tym, że w okolicy Cape Cod wciąż jeszcze żyje cała gromada ludzi pochodzących z wysp Fidżi.

Mieszkańcy Innsmouth muszą mieć coś wspólnego z taką przeszłością. To miasto było zawsze odcięte od reszty okolicy z powodu otaczających go bagien i rzek, nie znamy więc wszystkich szczegółów tej sprawy. Jest jednak oczywiste, że stary kapitan Marsh przywiózł jakieś dziwne istoty, kiedy trzy jego statki powracały w latach dwudziestych i trzydziestych. Nie ulega wątpliwości, że nawet teraz jest coś dziwnego w ludziach mieszkających w Innsmouth... Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale po prostu skóra człowiekowi cierpnie. Przekona się pan po Sargencie, jeżeli pojedzie pan jego autobusem. Niektórzy mają dziwaczne, wąskie głowy, płaskie nosy i wyłupiaste oczy, które wydają się nigdy nie zamykać, a ich skóra też jest jakaś inna. Chropawa i pokryta parchami, szyja pomarszczona i pofałdowana. Bardzo wczesnie łysieją. Najgorzej wyglądają starzy, choć szczerze mówiąc nie zdarzyło mi się spotkać naprawdę starego człowieka. Chyba umierają spojrzawszy w lustro! Zwierzęta ich nie znoszą, mieli straszne kłopoty z końmi, zanim nastąpiły samochody.

Nikt z tutejszych ludzi ani też z Arkham czy Ipswich nie chce mieć z nimi do czynienia, oni sami też zresztą stronią, kiedy przybywają do miasta albo jeśli ktoś z zewnątrz próbuje łowić na ich terenach. Dziwne, że taka jest obfitość ryb wokół portu w Innsmouth, a prawie wcale ich nie ma w okolicznych wodach, ale niech pan spróbuje łowić u nich, to zobaczy pan jaką robią nagonkę na człowieka. Kiedyś przyjeżdżali tutaj pociągiem. Chodzili pieszo do Rowley i tam wsiadali do pociągu, kiedy skasowano boczną linię, ale teraz przyjeżdżają autobusem.

Jest w Innsmouth hotel, nazywa się Gilman House, ale nie wydaje mi się, aby był coś wart. Nie radziłbym się w nim zatrzymywać. Lepiej niech pan tutaj przenocuje i pojedzie sobie jutro rano autobusem o dziesiątej. Wieczorem o ósmej jest autobus powrotny do Arkham. Kilka lat temu zatrzymał się w tym hotelu pewien inspektor z fabryki i miał jakieś

nieprzyjemne przeżycia. Zdaje się, że gromadzi się tam dziwny tłum, bo słyszał jakieś rozmowy w innych pokojach – choć większość była podobno pusta – co go strasznie przerażyło. Była to cudzoziemska mowa, tak mu się zdawało, ale najgorszy wydał mu się jeden głos, który słychać było tylko od czasu do czasu. Brzmiał bardzo nienaturalnie – tak jakby się przelewał – a inspektor nie miał odwagi się rozebrać i pójść spać. Przeczekał do świtu i z samego rana umknął stamtąd. Rozmowa toczyła się przez całą noc.

Człowiek ten – nazywał się Casey – opowiadał potem, że mieszkańcy Innsmouth bez przerwy go obserwowali, wydawało mu się, że nie spuszczała zeń oka ani na chwilę. Stwierdził, że rafineria Marsha to dziwne miejsce – stara budowla przy niższych wodospadach na rzece Manuxet. Wszystko, co mówił, zgadzało się z tym, co już przedtem słyszałem. Księgi handlowe zaniedbane, żadnych rachunków z przeprowadzonych transakcji. Zawsze otaczano tajemnicą źródło, z którego pochodzi złoto Marsha oczyszczane w tej rafinerii. Nie słychać było, żeby je sprzedawano, ale parę lat temu wywieźli gdzieś ogromną ilość sztab złota.

Niegdyś mówiono, że marynarze i pracownicy rafinerii sprzedają po cichu jakieś nieznane obce klejnoty, no i że parę razy widziano kobiety z rodziny Marsha w takich właśnie klejnotach. Ludzie powiadali, że pewien kapitan Obed skupował je w jakimś pogańskim porcie, zwłaszcza że zawsze zamawiał całe stosy szklanych paciorków i różnych świecidełek, takich samych, jakie zabierali zwykle marynarze na handel wymienny. Inni znów przypuszczali, i wciąż tak jeszcze uważają, że znalazł ukryte skarby pirackie na Diabelskiej Rafie. Stary kapitan nie żyje już od sześćdziesięciu lat i nie pojawił się na tych wodach ani jeden większy statek od czasu Wojny Domowej, a jednak Marshowie wciąż skupują różne miejscowe ozdoby – głównie szklane i gumowe ozdóbki, tak słyszałem. Być może

mieszkańcy Insmouth lubią je nosić – są chyba tacy sami jak kanibale znad Południowego Morza albo dzikusy z Gwinei.

Ta zaraza w czterdziestym szóstym roku zniszczyła chyba najlepszych ludzi w tym mieście. W każdym razie teraz wszyscy wyglądają podejrzanie, a Marshowie i inni bogacze najgorzej. Jak już wspomniałem, w całym mieście nie ma więcej niż czterysta osób, choć powiadają, że wszystkie ulice istnieją jak dawniej. Wydaje mi się, że na południu takich jak oni nazywa się „białą hołotą” – rozpustnicy, szczwane lisy, robią jakieś potajemne interesy. Łowią mnóstwo ryb i homarów i wywożą ciężarówkami. Niepojęte, dlaczego akurat tam gromadzą się ryby, a nie gdzie indziej.

Nikt nie jest w stanie wyśledzić tych ludzi, a dla przedstawicieli szkolnictwa czy też urzędników skarbowych to zupełny koszmar. Mieszkańcy Insmouth nie lubią, aby obcy wścibiali nos w ich życie. Słyszałem na własne uszy, że paru przedstawicieli rządowych i handlowców całkiem tam przepadło, krąży też wieść, że jeden dostał pomieszania zmysłów i teraz jest w Danvers. Musieli go czymś bardzo nastraszyć.

Dlatego właśnie, na pana miejscu, nie wybierałbym się tam na noc. Nigdy tam nie byłem i nie mam na to ochoty, ale sądzę, że pobyt w tym mieście za dnia nie może panu zaszkodzić, choć tutejsi ludzie i tego będą panu odradzać. Jeżeli lubi pan zwiedzać i interesuje się pan przeszłością, to Insmouth świetnie się do tego nadaje.

Wobec tego spędziłem wieczór w bibliotece publicznej w Newburyport, żeby się dowiedzieć czegoś o Insmouth. Kiedy próbowałem pytać miejscowych ludzi w sklepach, restauracjach, garażach i straży pożarnej, napotykałem na jeszcze większą niechęć, niż się spodziewałem, choć przecież uprzedzał mnie o tym kasjer na stacji kolejowej; uznałem, że nie

mam czasu na to, aby przełamywać tę ich instynktowną powściągliwość. Objawiali jakąś dziwną nieufność, tak jakby każdy, kto się interesuje Innsmouth, budził w nich podejrzliwość. Zatrzymałem się w YMCA, a tamtejszy recepcjonista najwyraźniej nie radził mi wybierać się do tego posepnego, chylącego się do upadku miasta; a pracownicy biblioteki podzielali ten pogląd. W oczach ludzi wykształconych Innsmouth było po prostu jaskrawym przykładem zdegenerowanego miasta.

Znajdujące się na półkach bibliotecznych kroniki historyczne, dotyczące okręgu Essex, nie objaśniały wiele. Wyczytałem, że miasto powstało w 1643 roku, przed Rewolucją słynęło z przemysłu okrętowego, na początku dziewiętnastego wieku było wspaniale prosperującym portem morskim, a potem ośrodkiem przemysłowym wykorzystującym siłę wodną rzeki Manuxet. Epidemia i zamieszki w 1846 roku były potraktowane pobieżnie, tak jakby przynosiły ujmę temu okręgowi.

Niewiele było zapisów odnośnie schyłku tego miasta, choć znaczenie końcowego rejestru było niedwuznaczne. Po Wojnie Domowej cały przemysł ograniczył się do rafinerii Marsha, a handel sztabami złota stanowił jedyną pozostałość wielkiego niegdyś ośrodka handlowego, no i oczywiście w dalszym ciągu zajmowano się rybołówstwem. Jednakże i rybołówstwo z czasem stało się mniej opłacalne z powodu spadku cen i konkurencji coraz liczniejszych korporacji, choć wciąż połowy wokół Innsmouth były obfite. Cudzoziemcy rzadko się tu osiedlali, istniało jednak dyskretnie zamaskowane świadectwo, że próbowało się tu osiedlić kilku Polaków i Portugalczyków, ale przepędzono ich w szczególnie drastyczny sposób.

Najbardziej jednak interesująca była pobieżna wzmianka na temat osobliwych klejnotów niejasno związanych z Innsmouth. W sposób

oczywisty wywarły one wpływ na całą okolicę, gdyż zaznaczono, że niektóre okazy znajdują się w Miskatonic University w Arkham i Sali Wystawowej Stowarzyszenia Historycznego w Newburyport. Fragmentaryczne opisy tych przedmiotów potraktowane były sucho i prozaicznie, ale dla mnie kryły w sobie jakąś niezaprzeczalną zagadkę. Było w nich coś tak dziwnego i prowokacyjnego, że nie mogłem przestać o nich myśleć i mimo stosunkowo późnej pory postanowiłem obejrzeć miejscowy eksponat – podobno duży, o dziwnych proporcjach, najwyraźniej przedstawiający tiarę – o ile, oczywiście, okaże się to możliwe.

Bibliotekarz dał mi list polecający do kustosza wystawy, panny Anny Tilton, mieszkającej w pobliżu, i po krótkim wyjaśnieniu ta starsza, zacna kobieta zgodziła się wprowadzić mnie do zamkniętego już budynku, jako że godzina była jeszcze względnie przyzwoita. Zgromadzona tu kolekcja wyglądała rzeczywiście wspaniale, ale mnie interesował tylko ten dziwny przedmiot lśniący w rogu szafy oświetlonej elektryczną lampą. Nie trzeba było specjalnej wrażliwości na piękno, aby to fantastyczne, pełne nieziemskiego splendoru zjawisko, spoczywające na purpurowej aksamitnej poduszce, przykuło mój wzrok. Nawet teraz jeszcze nie potrafię opisać tego, co ujrzałem, choć miało to wyraźnie kształt tiary, zgodnie z opisem, jaki przeczytałem. Z przodu była dość wysoka, w obwodzie duża i dziwnie nieregularna, jakby przeznaczona dla głowy o osobliwym kształcie elipsy. Materiał, z którego została wykonana, wskazywał na złoto, choć nieziemski połysk mógł również świadczyć o jakimś przedziwnym stopie z domieszką równie pięknego, ale zupełnie nieznanego metalu. Zachowana była w stanie niemal doskonałym i można by godzinami studiować wprost uderzająco niezwykle i zagadkowe wzory na jej powierzchni, geometryczne i związane

z morzem – wykute albo odlane w postaci wypukłej płaskorzeźby, a świadczące o niewiarygodnym, pełnym gracji mistrzostwie.

Im dłużej się wpatrywałem, tym bardziej mnie ta rzecz fascynowała, a do fascynacji dołączało się dziwnie niepokojące uczucie, trudne do określenia czy sklasyfikowania. Pomyślałem, że niepokój budzi we mnie jakaś osobliwość wykonania tej tiary, pochodzącej chyba z innego świata. Wszystkie dzieła sztuki, jakie dotychczas widziałem, charakteryzowały się przynależnością albo do jakiegoś narodu, albo do jakiejś rasy, albo też były po prostu nowoczesnym przetworzeniem znanego kierunku. Ta tiara nie przypominała żadnego ze znanych okazów sztuki. Najwyraźniej przynależała do jakiejś ustalonej techniki charakteryzującej się nieprawdopodobną dojrzałością i perfekcją, ale zupełnie obcą zarówno dla sztuki Wschodu, jak i Zachodu, dla sztuki starożytnej, jak i nowoczesnej – nie widziałem jeszcze dotąd niczego w tym rodzaju ani o niczym podobnym nie słyszałem. Zdawał się to być przedmiot pochodzący z innej planety.

Wkrótce jednak stwierdziłem, że mój niepokój miał jeszcze inne źródło, a były nim obrazkowe i matematyczne wzory na powierzchni tiary. Wszystkie inne sugerowały jakieś dawne tajemnice i niepojęte głębie czasu i przestrzeni, zaś monotonne, powiązane z morzem płaskorzeźby były w swej wymowie prawie złowróżbne. Pośród płaskorzeźb znajdowały się baśniowe potwory, odrażające, groteskowe i złośliwe – półryby, półżaby – które musiały chyba być powiązane z jakąś pseudopamięcią i zdawały się przywoływać dziwne obrazy z głębokich komórek i tkanek, których trwałe funkcjonowanie należy do pierwotnych i straszliwie odległych czasów. Chwilami odnosiłem wrażenie, że każdy zarys tych bluźnierczych żaboryb przesycony jest kwintesencją nieznanego i nieludzkiego zła.

Krótką i prozaiczną historią opowiedzianą przez pannę Tilton dziwnie kontrastowała z ogólnym wrażeniem, jakie sprawiała tiara. W 1873 roku oddał ją do lombardu na Stale Street za śmieszny sumę pewien pijany człowiek z Innsmouth, który wkrótce potem został zabity w jakiejś bójce. Stowarzyszenie nabyło ją wprost od właściciela lombardu i od razu umieszczona została na wystawie będącej godnym dla niej miejscem, wraz z informacją, że pochodzi prawdopodobnie z Indii Wschodnich albo Indochin, choć było to oparte wyłącznie na przypuszczeniach.

Panna Tilton, porównując wszelkie możliwe hipotezy dotyczące jej pochodzenia i obecności w Nowej Anglii, skłonna była wierzyć, że stanowiła część łupu pirackiego znalezionej przez kapitana Obeda Marsha. Poglądu tego nie podważały bynajmniej bezustanne oferty Marshów, którzy, z chwilą gdy się dowiedzieli o jej istnieniu, natychmiast chcieli ją kupić proponując wysoką cenę, i po dziś dzień powtarzają swoją ofertę mimo zdecydowanej odmowy Stowarzyszenia.

Kiedy wyszliśmy z budynku, zacna dama poinformowała mnie, że historia pirackiej fortuny Marshów wciąż jeszcze krąży w inteligentkich sferach tego regionu. Jeśli zaś chodzi o jej własny stosunek do upiornego Innsmouth – w którym zresztą jeszcze nigdy nie była – to czuje odrazę do tej społeczności, która wyzbyła się wszelkiej kultury, i zapewniła mnie, że pogłoski o otaczaniu czcią diabła są częściowo usprawiedliwione, bo rozpowszechnił się tam jakiś tajemniczy kult i pochłoniął wszystkie ortodoksyjne kościoły.

Został nazwany, powiedziała, „Ezoterycznym Porządkiem Dagona”, i jest z pewnością wynaturzonym, quasi-pogańskim obrzędem zapożyczonym sto lat temu na Wschodzie, kiedy to łowiska rybne w Innsmouth zaczęły zanikać. Trwałość tego kultu wśród prostych ludzi jest zjawiskiem naturalnym, jako że nagle wody przybrzeżne zapełniły się

rybami i stan ten nadal się utrzymuje, a wkrótce kult rozprzestrzenił się w całym mieście, wypierając całkowicie wolnomularstwo, i obrał sobie na główną siedzibę starą Masońską Lożę na ulicy New Church Green.

Wszystko to razem stanowiło dla pobożnej panny Tilton wystarczającą przyczynę, dla której unikała tego starego miasta, opustoszałego i ogarniętego rozkładem; dla mnie stało się to nowym bodźcem. Moje architektoniczne i historyczne zainteresowania zostały teraz wzbogacone o antropologiczne zagadki. Tak byłem podniecony, że prawie przez całą noc nie mogłem zmrużyć oka w moim małym pokoiku w YMCA.

.II.

Nazajutrz rano, tuż przed godziną dziesiątą, stałem z małą walizką przed drogerią Hammonda na Starym Rynku czekając na autobus do Innsmouth. Kiedy zbliżał się czas przyjazdu autobusu, zauważyłem, że snujący się tu ludzie szybko gdzieś umykają albo przechodzą na drugą stronę placu, koło gospody Ideal Lunch. A więc kasjer na stacji kolejowej nie przesadzał mówiąc o niechęci miejscowych ludzi do Innsmouth i jego mieszkańców. Po chwili pojawił się na Stale Street mały rozklekotany wehikuł, ogromnie sfatygowany, brudnoszarego koloru, zakręcił i zatrzymał się tuż koło mnie przy krawężniku. Domyśliłem się, że to właśnie ten autobus, a wkrótce upewniłem się sprawdzwszy na ledwie czytelnej tablicy na przedniej szybie napis: Arkham – Innsmouth – Newburyport.

Było w nim tylko trzech pasażerów – ciemnowłosych, niechlujnych, o ponurych twarzach, wyglądających raczej na młodych ludzi – a kiedy autobus się zatrzymał, wysiedli niezdarnie i poszli ulicą w milczeniu, niemalże ukradkiem. Kierowca także wysiadł i udał się do drogerii, by

zrobić tam zakupy. Domyśliłem się, że jest to Joe Sargent, o którym wspominał kasjer; nim jeszcze zdołałem wniknąć w jakiegokolwiek szczegóły, ogarnęła mnie nagle awersja do tego człowieka, niczym właściwie nieuzasadniona. Zrozumiałem niechęć tutejszych ludzi do podróżowania autobusem, którego właścicielem i kierowcą jest ten człowiek, albo do odwiedzania miasta, w którym żyje on i jemu podobni.

Kiedy kierowca wyszedł ze sklepu, przypatrzyłem mu się uważnie, żeby wykryć źródło owego złego wrażenia, jakie na mnie wywarł. Był szczupły, przygarbiony, wzrostu około sześciu stóp, miał na sobie obskurne granatowe ubranie, o na głowie mocno zniszczona golfową czapkę. Miał około trzydziestu pięciu lat, ale z powodu głębokich bruzd po bokach szyi wyglądał na starszego, jeśli się nie patrzyło na jego ponurą, pozbawioną wyrazu twarz. Miał wąską głowę, wyłupiaste niebieskie oczy, niemal wodniste, które zdawały się nigdy nie mrugać, płaski nos, cofnięte czoło i podbródek oraz przedziwnie niezgrabne, jakby nie wykształcone uszy. Miał duże, grube wargi i pokryte gęsto porami zszarzałe policzki, prawie pozbawione zarostu, tylko gdzieniegdzie wyrastały z nich kępki rzadkich, jasnych włosów; miejscami skóra jego była dziwnie chropawa, tak jakby złuszczała się z powodu jakiejś skórnej choroby. Ręce miał duże, gęsto usiane żyłami, o dziwnym szaroniebieskim zabarwieniu. Palce jego były zaskakująco krótkie w stosunku do całej budowy ciała i najwyraźniej podkurczał je, żeby ukryć w ogromnej dłoni. Kiedy tak szedł w stronę autobusu, zauważyłem, że w jakiś szczególny sposób powłóczy nogami i że ma niespotykanej wielkości stopy. Nie mogłem się nadziwić, że zdołał kupić buty.

Wszystko było na nim wytłuszczone, a to jeszcze bardziej potęgowało moja odrazę. Musiał chyba pracować albo bywać często w porcie, bo okropnie cuchnął rybami, ale jaka obca krew płynęła w jego żyłach, nie

potrafiłem odgadnąć. Nie wyglądał na Azjatę, Polinezyjczyka, Lewantyńczyka ani na typ negroidalny, ale rozumiałem, dlaczego ludzie uważali go za obcego. Ja jednak skłonny byłbym uważać go raczej za biologicznego degenerata aniżeli obcego.

Kiedy zorientowałem się, że będę jedynym pasażerem w tym autobusie, nie było mi przyjemnie. Nie odpowiadało mi podróżowanie wyłącznie w towarzystwie tego kierowcy. Nadszedł jednak czas odjazdu, stłumiłem więc niechęć i wsiałem za tym człowiekiem wręczyszy mu banknot jednodolarowy i powiedziawszy jedno tylko słowo „Innsmouth”. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem wydając mi w milczeniu czterdzieści centów reszty. Usiałem po jego stronie, ale daleko, chciałem bowiem podczas jazdy patrzeć na morze.

Wreszcie ów zramolały wehikuł ruszył ze zgrzytem i piskiem i głośno turkocąc mijał stare budynki z cegły na Stale Street w gęstej chmurze dymu dobywającego się z rury wydechowej. Zauważyłem, że przechodnie na ulicy starają się nie patrzeć na autobus albo udają, że nie patrzą. Po chwili skręciliśmy w lewo na High Street, gdzie jezdnia była już gładsza; przemknęliśmy obok dostojnych starych rezydencji wczesno-republikańskiego okresu i obok jeszcze starszych farm z okresu kolonialnego, minęliśmy Lowel Green i Parker River, po czym wjechaliśmy w długi, monotony pas rozległego nadmorskiego obszaru.

Dzień był ciepły i słoneczny, jednakże piaszczysty teren, porosły turzycą i karłowatymi drzewami, stawał się coraz bardziej opustoszały. Z okna widziałem błękitną wodę i piaszczyste zarysy Plum Island, a wkrótce zjechaliśmy prawie na sam brzeg plaży, gdyż nasza wąska droga zboczyła z głównej szosy prowadzącej do Rowley i Ipswich. Nie było tu już żadnych domów, a stan drogi świadczył o bardzo niewielkim ruchu kołowym. Niskie, zniszczone wiatrem i deszczem słupy telefoniczne miały tylko dwie

linie, a co pewien czas przejeżdżaliśmy przez sfatygowane drewniane mostki na małych rzeczkach, które wijąc się płynęły w głąb lądu i potęgowały jeszcze wrażenie pustki tego terenu.

Gdzieniegdzie wyłaniały się przed moimi oczami nagie kikuty i rozpadające się resztki fundamentów ponad ruchomymi piaskami, świadczące o dawnej tradycji, o jakiej wspomniano w książce historii, którą czytałem, a mianowicie, że niegdyś była to żyzna, gęsto zaludniona kraina. Zmiana nastąpiła w okresie epidemii w Innsmouth w 1846 roku, a wśród mieszkańców panuje przekonanie, że ma to związek z jakimiś tajemniczymi złymi mocami. Na spustoszenie tego terenu wpłynął też bezsensowny wyręb przybrzeżnych lasów, co pozbawiło ziemię tak potrzebnej ochrony drzew i dało wolną drogę falom i piaskom przenoszonym wiatrem.

Posuwając się dalej straciliśmy z oczu Plum Island, a po lewej stronie roztoczył się przed nami widok na rozległy Atlantyk. Nasza wąska droga zaczęła się wspinać stromo, a mnie zaczął ogarniać dziwny niepokój, kiedy zobaczyłem przed sobą wysoką grań, na której nasza wyżłobiona droga sięgała nieba. Wydawało się, że autobus będzie się tak wspinać coraz wyżej, pozostawi za sobą normalną ziemię i wzniesie się w arkana wyższych warstw powietrza i tajemniczego nieba. Zapach morza był teraz prawie złowieszczy, a pochylone mocne plecy milczącego kierowcy i jego wąska głowa z każdą chwilą stawały się dla mnie coraz bardziej nienawistne. Kiedy popatrzyłem uważniej, przekonałem się, że tył jego głowy jest prawie tak samo pozbawiony włosów, jak i jego twarz, tylko parę żółtych kępek wyrasta mu na szarej, szorstkiej skórze.

I tak wjechaliśmy na grań, skąd roztoczył się widok na rozległą dolinę, gdzie rzeka Manuxet łączyła się z morzem na północ od długiego łańcucha wzgórz najgęściej skupionych w Kingsport Head i skręcających w stronę

Cape Ann. Na dalekim zamglonym horyzoncie zdołałem zauważyć przyprawiający o zawrót głowy zarys góry, a na niej tajemniczy stary dom, o którym krążyło tak wiele legend; w tej chwili całą moją uwagę przykuwała bliższa panorama roztaczająca się w dole. Zorientowałem się, że przede mną jest już upiorne Innsmouth.

Było to miasto rozległe i gęsto zabudowane, ale już z daleka znamionował je złowieszczy brak śladów życia. Z gęstego skupiska kominów tylko gdzieniegdzie unosił się kłębek dymu, a trzy wysokie wieże sterczały na tle morza nagie i nie pomalowane. Jedna z nich na szczycie się rozpadała, a tu i ówdzie widniały czarne czeluście, w których niegdyś były pewnie tarcze zegarów. Ogromną ilość obwisłych, spadzistych dachów i spiczastych kalenic najwyraźniej toczyło robactwo, a kiedy zjechaliśmy trochę niżej, okazało się, że większość dachów całkiem się zapadła. Było tam także kilka dużych kwadratowych domów w stylu georgiańskim z kopertowymi dachami, kopułami i tarasami otoczonymi żelazną balustradą. Te znajdowały się z dala od morza i niektóre zachowały się jeszcze w całkiem niezłym stanie. Stamtąd ciągnęły się w stronę lądu nie używane teraz i zarosłem trawą szyny kolejowe z przechylonymi słupami telegraficznymi, pozbawionymi drutów, i na pół zatarte ślady starych dróg do Rowley i Ipswich.

Największe zniszczenie dało się zauważyć tuż nad morzem, choć w samym środku wypatrzyłem białą wieżę całkiem dobrze zachowanej budowli z cegieł, która wygadała jak mała fabryka. Przystań, z dawna zasypana piaskiem, otoczona była starym, kamiennym falochronem; na nim to zacząłem odróżniać małe figurki siedzących rybaków, a na samym końcu fundamenty stojącej tu niegdyś latarni morskiej. Od wewnątrz falochronu utworzył się piaszczysty cypel, na nim zaś spostrzegłem kilka przysiadłych chat, płaskodenne łodzie i porozrzucane wrzeczadła do łowienia homarów.

Woda zdawała się być głęboka tylko tam, gdzie rzeka opływała fabrykę i skręcała na południe, by połączyć się z oceanem przy końcu falochronu.

Tu i ówdzie sterczały na brzegu ruiny przystani w zupełnym rozkładzie, który im dalej na południe, tym większy przybierał zasięg. A w głębi morza, mimo wysokiego przyływu, dostrzegłem długą czarną linię, nieznacznie unoszącą się nad powierzchnią wody, a kryjącą w sobie jakieś tajemne zło. Domyśliłem się, że musi to być Diabelska Rafa. Kiedy tak na nią patrzyłem, doznawałem mieszanych uczuć; w swej ponurości była odpychająca, a jednocześnie w jakiś dziwny sposób zdawała się do siebie przyciągać. Zdumiewające, ale to drugie odczucie powodowało większy niepokój.

Nie spotkaliśmy po drodze ani żywej duszy, teraz jednak zaczęliśmy mijać opuszczone farmy będące w różnym stadium rozkładu. Potem zauważyłem kilka zamieszkałych domów o potłuczonych szybach zasłoniętych różnymi szmatami, a zaśmiecone podwórka pełne były muszli i śniętych ryb. Raz, a może dwa, dostrzegłem apatycznie wyglądających ludzi pracujących w pustych ogródkach albo wykopujących mięczaki na cuchnącej rybami plaży oraz grupki dzieci przypominających małpy, które bawiły się przy obrośniętych chwastami progach domów. Ci ludzie napawali większym niepokojem niż wszystkie ponure domostwa, bo prawie każdy spośród nich szokował albo wyrazem twarzy, albo sposobem poruszania się, co instynktownie budziło we mnie niechęć, choć nie potrafiłbym określić przyczyny takiego stosunku. Przez moment zdawało mi się, że charakterystyczna budowa ich ciała przypomina mi jakąś ilustrację z książki oglądanej w chwili przerażenia albo melancholii; ale to pseudo wspomnienie minęło bardzo szybko.

W miarę jak autobus zjeżdżał coraz niżej, wśród nienaturalnej ciszy zaczął mnie dochodzić monotony szum wodospadu. Po obu stronach drogi

pojawiły się coraz gęstsze skupiska pochylonych, nie pomalowanych domów, bardziej przypominających miejską zabudowę. Panorama przed nami ograniczała się już teraz tylko do ulicznej scenerii, co pewien czas pojawiały się ślady dawnych chodników wykładanych kostką lub cegłą. Oczywiście wszystkie domy ziały pustką, a od czasu do czasu pojawiały się wyrwy, w których tylko rozpadające się kominy albo na wpół zawalone piwnice świadczyły o tym, że niegdyś stały tu budynki. Wszędzie natomiast dominował mdły zapach ryb, wprost nie do opisanie.

Wkrótce zaczęliśmy mijać poprzeczne ulice i skrzyżowania; ulice po lewej stronie prowadziły ku morzu, były niebrukowane i obskurne, natomiast biegnące w prawo nosiły ślady minionej świetności. Jak dotąd jeszcze nie widziałem ani jednego człowieka w tym mieście, ale zaczęły się już pojawiać pojedyncze oznaki życia – gdzieniegdzie zasłonięte okna albo stojące na rogu mocno sfatygowane samochody. Bruk uliczny i chodniki wyłaniały się coraz wyraźniej, a większość domów, choć była stara – połączenie cegły i drzewa z początku dziewiętnastego wieku – nadawała się jeszcze do zamieszkania. Z amatorstwa interesowałem się wszystkim, co stare, i w tym bogactwie minionej, ale dobrze jeszcze zachowanej przeszłości prawie przestałem reagować na obrzydliwy zapach ryb, opuściło mnie też poczucie zagrożenia i odrazy.

Nie było mi jednak sądzone dotrzeć do celu bez dojmująco przykrego doznania. Autobus podjechał do jakiegoś skrzyżowania albo ronda otoczonego z dwóch stron kościołami, pośrodku którego znajdowały się błotniste resztki trawnika, przede mną zaś, z prawej strony skrzyżowania, wyłonił się ogromny gmach z kolumnami. Niegdyś pomalowany na biało, teraz był szary i obdrapany, a czarnożłote litery na frontonie tak wyblakły, że z trudem zdołałem odczytać napis „Ezoteryczny Porządek Dagona”. A więc byt to dawny budynek wolnomularzy, przejęty teraz przez

wyznawców nikczemnego kultu. Kiedy wyteżalem wzrok, żeby odczytać napis, uwagę moją zwróciły jakieś ochryple tony dzwonu, szybko więc odwróciłem się, by wyrzeć przez okno, przy którym siedziałem.

Dźwięk dochodził z kamiennego kościoła z przysadzista wieżą, pochodzącego ze znacznie późniejszego okresu niż większość okolicznych domów, a zbudowanego w ciężkim gotyckim stylu z nieproporcjonalnie wysoką kryptą z okiennicami. Choć zegar od tej strony, na którą patrzyłem, pozbawiony był wskazówek, wiedziałem, że te ostre uderzenia dzwonu obwieszczają godzinę jedenastą. Nagle jednak wszelkie poczucie czasu zostało wymazane przez niesłychanie intensywnie napierający obraz, który wywołał we mnie paniczny lęk, nim jeszcze zdołałem pojąć, co oznacza. Drzwi do krypty kościoła były otwarte i ukazywały czarne, kwadratowe wnętrza. Wtem przesunęła się tam, albo tak mi się tylko zdawało, jakaś postać; w głowie zaświtała mi straszna myśl o zmorze nocnej, co było bulwersujące, bo przecież pozbawione wszelkiego sensu.

Był to obiekt żywy – pierwszy poza kierowcą, jaki napotkałem od chwili, gdy wjechaliśmy w gęsto zabudowaną część miasta – i gdybym był w spokojniejszym stanie umysłu, nie wydałoby mi się to tak przerażające. Jak sobie po chwili uświadomiłem, musiał to być niewątpliwie kapłan; ubrany w jakieś niezwykle szaty, wprowadzone przez Porządek Dagona, który zmodyfikował wszystkie miejscowe kościoły. To, co najprawdopodobniej podświadomie uderzyło mnie już w pierwszej chwili i napełniło takim lękiem, to była wysoka tiara na jego głowie; identyczna jak ta, którą pokazała mi panna Tilton poprzedniego wieczora. To zapewne ona podziałała na moją wyobraźnię i nadała tak złowieszcze cechy niewyraźnej twarzy i odzianej w dziwne szaty, powłóczącej nogami postaci. Wkrótce uznałem, że nie ma sensu, aby jakieś rzekome wspomnienie zła wywołało we mnie aż taki wstrząs. Czyż nie było to naturalne, że wyznawcy

miejscowego tajemniczego kultu przejęli wśród różnych symboli to niezwykle nakrycie głowy, dobrze znane tutejszej społeczności... może jako trofeum znalezionego skarbu?

Teraz co pewien czas zaczęli się pojawiać na ulicy młodzi ludzie o odrażającym wyglądzie – pojedynczo albo też w milczących grupkach po dwie, trzy osoby. Na parterze niektórych zniszczonych domów znajdowały się małe sklepiki o zamazanych szyldach, tu i ówdzie dostrzegłem zaparkowane ciężarówki. Szum wodospadu dobiegał coraz wyraźniej, wkrótce dostrzegłem dość głębokie koryto rzeki, a nad nią szeroki, żelazny most, wychodzący na duży, kwadratowy plac. Kiedy przejeżdżaliśmy z łoskotem przez most, rozejrzałem się na wszystkie strony i dostrzegłem budynki fabryczne na porośłym trawą stromym brzegu rzeki. Poziom wody był bardzo wysoki, po prawej stronie, w górze rzeki, znajdowały się dwa wartkie wodospady i co najmniej jeden z lewej, w dolnym biegu. Tutaj szum był ogłuszający. Potoczyliśmy się na zaokrąglony plac na drugim brzegu i podjechaliśmy z prawej strony przed wysoki, uwieńczony kopułą budynek z resztkami żółtej farby i pozacieranym napisem „Gilman House”.

Z przyjemnością wysiadłem i natychmiast udałem się do obskurnego hotelu, aby zostawić tam walizkę. W hallu był tylko jeden pracownik – starszy mężczyzna, nie posiadający wyglądu „człowieka z Innsmouth” – któremu postanowiłem nie zadawać żadnych pytań na interesujące mnie tematy, pamiętałem, że w tym właśnie hotelu działy się dziwne rzeczy, wedle relacji kasjera ze stacji kolejowej. Wszedłem zaraz na plac, z którego autobus już zdążył odjechać, i przyglądałem się wszystkiemu dokładnie i wnikliwie.

Z jednej strony tego placu wyłożonego kocimi łbami ciągnęła się w prostej linii rzeka; z drugiej znajdowało się półkole budynków z cegły o spadzistych dachach, zbudowanych najprawdopodobniej około tysiąc osiemsetnego roku, skąd rozchodziło się promieniście kilka ulic na południowy wschód, południe i południowy zachód. Z rzadka stojące latarnie były raczej niskie, o słabym świetle, Rad więc byłem, że zaplanowałem odjazd przed zmrokiem, mimo że zapowiadała się jasna, księżycowa noc. Wszystkie budynki zachowały się w dobrym stanie i miały kilka funkcjonujących sklepów; jeden z nich, spożywczy, był filią znanej w całej Nowej Anglii firmy, poza tym znajdowała się tam smętna restauracja, drogeria i biuro centrali rybnej; na wschodnim krańcu, przy samej rzece, mieściło się biuro jedyne funkcjonującego przemysłu w mieście – Towarzystwa Rafineryjnego Marsha. Na ulicach spotkałem w sumie może dziesięciu przechodniów, poza tym w różnych miejscach stało kilka samochodów i ciężarówek. Nikt nie potrzebował mnie objaśniać, że to jest centrum Innsmouth. Od wschodniej strony prześwitywał niebieskimi barwami port, na tle którego wyrastały ruiny trzech, niegdyś pięknych wieżyc, w georgiańskim stylu. A w kierunku brzegu, po drugiej stronie rzeki, wznosiła się biała wieża, która, jak wywnioskowałem, stanowiła część rafinerii Marsha.

Trudno byłoby mi powiedzieć, jakimi motywami się kierowałem, ale na pierwszy plan wybrałem sklep spożywczy, którego personel nie przypominał miejscowych ludzi, i tam postanowiłem się czegoś dowiedzieć. Zostałem tylko siedemnastoletniego chłopca, pracującego w charakterze subiekta, i przyjemnie mi się zrobiło na widok jego ożywienia i uprzejmości, które obiecywały pogodną gotowość informacji. Okazał się bardzo rozmowny i wkrótce się dowiedziałem, że nie podoba mu się to miejsce, ma dosyć ciągłego zapachu ryb i zagadkowych mieszkańców tego

miasta. Rozmowa z każdym przybyszem była dla niego ulgą. Przyjechał tu z Arkham, zamieszkał u rodziny pochodzącej z Ipswich, a wyjeżdżał stąd zawsze, gdy tylko miał wolne. Rodzina jego niechętnie akceptowała tę pracę w Innsmouth, ale firma go tu skierowała i nie chciał stracić posady.

Powiedział, że nie ma tu żadnej biblioteki ani żadnego biura podróży, ale zapewne poradzę sobie sam. Ulica, na której obecnie się znajduję, to Federal Street. Na zachód od niej znajdują się stare, elegantsze ulice – Broad, Washington, Lafayette i Adams – na wschód natomiast jest nadbrzeżna dzielnica slumsów. Tam właśnie, przy Main Street, spotkam stare kościoły georgiańskie, od dawna już nieczynne. Lepiej tam nie rzucać się zanadto w oczy, zwłaszcza na północ od rzeki, bo ludzie są nastawieni wrogo i strasznie posepni. Zdarzyło się nie raz, że obcy przybysz zniknął tam na zawsze. Pewne miejsca w tamtej okolicy są prawie zakazane, o czym przekonał się na własnej skórze. Na przykład nie należy przechadzać się w pobliżu rafinerii Marsha ani koło czynnych kościołów czy też gmachu z filarami należącego do Porządku Dagona na New Church Green. Są to bardzo dziwne kościoły – wszystkie gwałtownie zdezurowane przez ich sekty posługujące się przedziwnym ceremoniałem i równie dziwnym strojem duchowieństwa. Jest to heretycka i jakaś tajemnicza wiara, charakteryzująca się dziwnymi przejawami cudownych przeobrażeń zmierzających do nieśmiertelności ciała – w pewnym stopniu – na ziemi. Pastor – dr Wallace z Ashbury M.E. Kościoła w Arkham – surowo przestrzegał tego młodego człowieka przed uczestniczeniem w obrzędach któregośkolwiek kościoła w Innsmouth.

Jeśli chodzi o samych mieszkańców Innsmouth, to właściwie nie wiedział, co o nich myśleć. Rzadko i tylko ukradkiem pojawiali się na ulicach, niczym zwierzęta żyjące w norach, i nie miał pojęcia, w jaki sposób spędzają czas, kiedy nie łowią ryb, a połowy też odbywały się u

nich bez żadnego planu. Sądząc po ilości przemycanego alkoholu, przez większą część dnia leżą pewnie w alkoholowym zamroczeniu. Wszyscy zdają się przynależć do jakiejś wspólnoty, rozumieją się nawzajem i pogardzają resztą świata, jak gdyby mieli dostęp do innych, znacznie wyższych sfer istnienia. Ich wygląd – zwłaszcza tych, którzy mają nieruchome i nigdy nie zamykające się oczy – jest już sam w sobie zaskakujący, a brzmienie ich głosu mocno odrażające. Okropne wrażenie robią ich śpiewy w kościołach podczas nocy, a zwłaszcza w ich główne święta przypadające dwa razy do roku, 30 kwietnia i 31 października.

Są miłośnikami wody, pływają bardzo często zarówno w rzece, jak i w morzu. Powszechne wśród nich są wyścigi pływackie do Diabelskiej Rafy i każdy, kogo tylko spotkamy na ulicy, wydaje się być zdolny do tego wyczerpującego sportu. Jeśli się tak zastanowić, to właściwie tylko młodych ludzi dostrzega się na ulicy, a im starsi, tym ciemniejszą mają skórę. Zdarzają się wyjątki, kiedy nie dostrzega się odchyłeń od normy, jak na przykład ów starszy już pracownik hotelu. Zastanawiające, co dzieje się ze starymi ludźmi, a może „wygląd typowy dla Innsmouth” to objawy dziwnej i zdradzieckiej choroby, które potęgują się w miarę upływających lat?

Tylko jakaś rzadko spotykana choroba mogła spowodować równie wielkie i zasadnicze zmiany anatomiczne u poszczególnych dorosłych osobników – zmiany w układzie kostnym, tak podstawowe jak kształt czaszki – ale znacznie bardziej zaskakujące i wprost niesłychane było piętno tej choroby zaznaczające się w ogólnym wyglądzie. Trudno byłoby wyciągnąć jakieś konkretne wnioski w tej sprawie, wyjaśnił młody sprzedawca, bo nie sposób poznać bliżej tych ludzi, choćby się nawet długo wśród nich mieszkało.

Był przekonany, że ludzie o gorszym wyglądzie niż ci, których czasem spotyka się na ulicach, przebywają zamknięci w domach. Nieraz słyhać jakieś dziwne odgłosy. Rozpadające się nadbrzeżne rudery na północ od rzeki są podobno połączone ukrytymi lochami stanowiącymi istne siedlisko anormalnych zjawisk. Jaka obca krew – jeżeli tak jest istotnie – płynie w żyłach tych ludzi, trudno się rozeznąć. Kiedy przedstawiciele rządowi albo jacyś inni ludzie z zewnątrz przybywają do miasta, wtedy starannie ukrywają wszystkich, którzy wyglądają odrażająco.

Nie ma sensu, objaśniał mnie sprzedawca, pytać tubylców o cokolwiek, co dotyczy miasta. Jedyny, który byłby tu skory do rozmowy, to sędziwy już człowiek o normalnym wyglądzie, mieszkający w ubogim domu na północnym skraju miasta. Można go spotkać przy remizie strażackiej, bo ciągle się tam snuje. Ten starzec nazywa się Zadok Allen, ma dziewięćdziesiąt sześć lat i jest trochę stuknięty, a poza tym to największy w mieście pijak. Jest dziwny i zagadkowy, ciągle ogląda się przez ramię, jakby się czegoś obawiał, a kiedy jest trzeźwy, za nic nie można go nakłonić do rozmowy z obcymi. Nie potrafi się jednak oprzeć pokusie, jeśli ktoś mu zaproponuje jego ulubioną truciznę, a pijany rozwija opowieść pełną zdumiewających wspomnień.

A jednak niewiele pożytecznych wiadomości można od niego uzyskać; we wszystkich jego opowieściach znać szaleństwo, są to niepowiązane wątki na temat nieprawdopodobnych cudów i strasznych wydarzeń, które zrodzić mogła tylko jego nieposkromiona fantazja. Nikt mu nigdy nie daje wiary, ale mieszkańcom Innsmouth nie podoba się, że tyle pije i rozmawia z obcymi: lepiej, aby nie widzieli, że się z nim rozmawia. To od niego najprawdopodobniej wywodzą się wszystkie najbardziej niesamowite opowieści.

Kilku nietutejszych nieraz donosiło o jakichś strasznych zjawach, które im się zdarzyło tu zauważyć, ale trudno się dziwić, że opowieści starego Zadoka i widok zniekształconych tubylców wywoływały takie iluzje. Nikt spośród niemiejskowych ludzi nie wychodzi na ulicę wieczorem, bo, jak się powszechnie uważa, byłoby to przejawem braku rozsądku. A poza tym wszystkie ulice spowija złowieszczy mrok.

Ilość ryb jest tu wprost niewiarygodna, ale ludzie mają z tego coraz mniejsze korzyści. Ponadto ceny spadają, a konkurencja rośnie. Najlepiej prosperuje oczywiście rafineria, której przedstawicielstwo handlowe mieści się w pobliżu, na placu. Starego Marsha nigdy się nie widuje, czasami jednak jeździ do fabryki w zamkniętym samochodzie z zasłoniętymi oknami.

O wyglądzie Marsha krążą najrozmaitsze plotki. Dawniej był to wielki elegant i podobno jeszcze teraz nosi surdut z epoki edwardiańskiej, przystosowany do jego dziwnie zdeformowanego ciała. Przedtem jego synowie prowadzili biuro, ale od pewnego czasu nie pokazują się już publicznie i lwią część pracy przejęła młodsza generacja. Wygląd synów, a także ich sióstr stał się dziwny, zwłaszcza tych starszych, i podobno wszyscy jakoś zapadają na zdrowiu.

Jedna z córek Marsha jest odrażająco brzydka, przypomina jakiegoś gada, a nosi ogromną ilość przedziwnej biżuterii, podobnie egzotycznej jak widziana przeze mnie tiara. Młody sprzedawca widział tiarę kilka razy i słyszał, że pochodzi z tajemnego łupu albo pirackiego, albo diabelskiego. Księża czy też kapłani – w gruncie rzeczy nie wiadomo, jak się ich tutaj zwie – wszyscy noszą tego rodzaju ozdobę na głowie, ale niestety niełatwo ich zobaczyć. Innych egzemplarzy tej tiary młody człowiek nie widział, choć podobno, wedle krążących wieści, jest ich wiele w Innsmouth.

Marshowie wraz z trzema innymi szlachtetnie urodzonymi rodzinami – Waite'ami, Gilmanami i Eliotami – nie muszą już pracować. Mieszkają w ogromnych domach na Washington Street i trzymają tam podobno w ukryciu swoich krewnych, którym ze względów osobistych nie wolno się pokazywać, ale wiadomość o ich śmierci ogłaszają oficjalnie.

Wiele napisów z nazwami ulic zostało zdjętych, w związku z czym młody człowiek naszkicował mi szczegółowy plan najważniejszych obiektów w mieście. Stwierdziłem, że będzie mi ogromnie pomocny, i wśród serdecznych podziękowań schowałem go do kieszeni. Obskurna restauracja, którą po drodze widziałem, nie wydała mi się zachęcająca, wobec tego kupiłem sobie na obiad serowe krakersy i imbirowe wafle. Postanowiłem obejrzeć główne ulice, porozmawiać z ludźmi przybyłymi do tego miasta, jeżeli takich po drodze napotkam, i wrócić autobusem do Arkham o ósmej wieczorem. Całe miasto było naznaczone rozkładem i ruiną; nie miałem zainteresowań socjologicznych, postanowiłem więc skupić się na zagadnieniach z zakresu architektury.

I tak rozpocząłem moją dokładną, ale jakże kłopotliwą wędrówkę po Innsmouth, wąskimi, dość mrocznymi uliczkami. Minąłem most i skręciłem w stronę szumiącego wodospadu w dolnym biegu rzeki, przeszedłem koło rafinerii Marsha, z której, dziwna rzecz, ale nie dochodziły odgłosy odbywającej się tam pracy. Stała na krawędzi stromego brzegu rzeki koło mostu, a skrzyżowanie ulic, będące dawniej centrum miasta, zostało po Rewolucji zastąpione placem miejskim istniejącym do dzisiaj.

Minąwszy wąwóz przy moście na Main Street natknąłem się na dzielnicę tak wymarłą, że przeszył mnie dreszcz przerażenia. Skupisko zapadłych i rozsypujących się dachów tworzyło fantastyczną, poszarpaną linię horyzontalną na tle nieba, a ponad nią wyrastała upiorna, ścięta u góry wieża starego kościoła. W kilku domach na Main Street ktoś chyba

mieszkał, ale większość była szczelnie zabita deskami. Na bocznych, pozbawionych chodników ulicach ujrzałem czarne czeluście wybitych okien w pustych ruderach, z których wiele przechyliło się groźnie na osuniętych fundamentach. Okna te wyglądały tak upiornie, że trzeba było nie lada odwagi, aby iść dalej, w stronę parku. Strach, jaki budzą opustoszałe domy, potęguje się raczej w postępie geometrycznym niż arytmetycznym, jako że domy mnożą się i tworzą kompletnie opustoszałe miasto. Na widok nieskończenie długich ulic świecących obłądną pustką i śmiercią i na myśl o ciągnących się bezkresnie, spowitych mrokiem mieszkaniach, które wypełniały tylko pajęczyny i wspomnienia i nad którymi zawładnęło teraz robactwo, ogarniał człowieka lęk i odraza, i chyba nawet najwymyślniejsza filozofia nie byłaby w stanie się im oprzeć.

Fish Street była równie opustoszała jak Main Street, różniła się jednak tym, że zbudowane z cegły i kamienia magazyny zachowały się w doskonałym stanie. Water Street była podobna, z tą tylko różnicą, że w tych miejscach, gdzie znajdowały się kiedyś zabudowania portowe, teraz były puste dziury. Nigdzie nie spotkałem żywej duszy, tylko na dalekim falochronie siedziało paru rybaków, nie słyszałem też żadnych odgłosów życia poza chlupotem fal w przystani i szumem wodospadu na rzece Manuxet. To miasto zaczynało mi coraz bardziej działać na nerwy, co chwila oglądałem się ukradkiem za siebie przechodząc przez rozklekotany most na Water Street. Most na Fish Street, zgodnie z naszkicowanym planem, był w ruinie.

Na północ od rzeki znać było ślady nędznego życia – czynne pakownie ryb na Water Street, tu i ówdzie dymiące kominy i połatane dachy, jakieś nieokreślone odgłosy, a gdzieniegdzie na ponurych niebrukowanych uliczkach powłóczący nogami ludzie. Mimo to wydało mi się tu jeszcze bardziej ponuro niż w południowej, wymarłej dzielnicy miasta. Może

dlatego, że ludzie tutaj byli jeszcze bardziej tajemniczy i nienormalni niż w centrum miasta; parokrotnie doznałem jakichś zupełnie fantastycznych skojarzeń, których nie potrafiłem umiejscowić. Wydawało się, że ci ludzie mają większą domieszkę obcej krwi aniżeli mieszkańcy śródmieścia – chyba że wygląd „ludzi z Innsmouth” miał rzeczywiście podłoże chorobowe, a nie był tylko przejawem obcej krwi: w takim razie w tej dzielnicy choroba była bardziej zaawansowana niż gdzie indziej. Szczególnie zaniepokoiły mnie ledwo słyszalne odgłosy niewiadomego pochodzenia. Powinny dobywać się z zamieszkałych domów, o tymczasem najwyraźniej dochodziły z domów, których fasady były zabite deskami. Tam rozlegało się jakieś skrzypienie, bezładne przemykanie i chrobotanie: mimo woli pomyślałem o ukrytych tunelach, o których wspominał młody sprzedawca. Nagle zacząłem się zastanawiać, Jakie brzmienie ma głos tutejszych mieszkańców. Do tej pory nie słyszałem jeszcze rozmowy tych ludzi, ale w końcu stwierdziłem, że nie mam na to najmniejszej ochoty.

Zatrzymałem się trochę dłużej na Main Street i Church Street, żeby popatrzeć na dwa dość ładne, stare, zniszczone kościoły i szybko opuściłem tę dzielnicę nędznych slumsów nad brzegiem rzeki. Następne kroki powinienem był skierować na ulicę New Church Green, ale jakoś nie miałem ochoty znaleźć się po raz drugi w pobliżu kościoła, w którego krypcie dostrzegłem tę przerażającą postać księdza czy też pastora z dziwnym diademem na głowie. Poza tym chłopiec ze spożywczego sklepu przestrzegał mnie, że w kościołach, a także w budynku Porządku Dagona ludzie obcy nie są mile widziani.

Wobec tego posuwałem się w kierunku północnym główną ulicą, po czym skręciłem w głąb łądu i znalazłem się w zniszczonej dzielnicy zamożnego mieszczaństwa północnej części ulicy Broad, Washington,

Lafayette i Adams, Choć te wspaniałe stare aleje miały złą nawierzchnię i były zaniedbane, nie opuściło ich jeszcze ocienione wieżami dostojęstwo. Rezydencje jedna za drugą przyciągały mój wzrok, większość z nich, pośród pustych dziedzińców, była zniszczona i zabita deskami, ale na każdej z tych ulic, w jednej albo dwóch rezydencjach, widać było ślady życia. Na Washington Street stał rząd odremontowanych domów, ze starannie utrzymanymi trawnikami i ogrodami. Najbardziej okazały – z kwiatowymi tarasami schodzącymi w dół aż do Lafayette Street – przynależał zapewne do starego Marsha, chorego właściciela rafinerii.

Wszystkie te ulice zupełnie pozbawione były życia, a już najbardziej zdumiewał mnie brak kotów i psów w Innsmouth. Z pewnym też zdumieniem i niepokojem zauważyłem, że nawet w najlepiej utrzymanych rezydencjach wszystkie okna na drugich piętrach i facjatach były szczelnie zamknięte. Ukradkowość i tajemniczość władały tym milczącym, wymarłym miastem, a jednocześnie przez cały czas nie mogłem się pozbyć uczucia, że przebiegłe i nigdy nie zamykające się oczy śledzą mnie zewsząd i czyhają.

Dreszcz mną wstrząsnął, kiedy zegar na wieży po lewej stronie wybił godzinę trzecia. Zbyt dobrze pamiętałem ten przysadzisty kościół, z którego dobiegały te dźwięki. Posuwając się Washington Street w stronę rzeki znalazłem się w innej zupełnie części dawnej dzielnicy przemysłowo-handlowej; były tam ruiny fabryki, a także stacji kolejowej oraz kryty wiadukt kolejowy nad wąwozem znajdującym się po prawej stronie od miejsca, w którym stałem.

Udałem się w tę stronę, jednak wiadukt okazał się niepewny, zaopatrzonego w znak ostrzegawczy, ale podjąłem ryzyko i przeszedłem na południowy brzeg rzeki, gdzie znowu odnalazłem ślady życia. Tajemnicze, powłóczące nogami istoty spoglądały ukradkiem w moją stronę, natomiast

ludzie o twarzach normalnych patrzyli na mnie zimno i z ciekawością. Innsmouth stało się Już nie do zniesienia, udałem się więc Paine Street w stronę placu w nadziei, że znajdę tam jakiś pojazd, którym wrócę do Arkham, i nie będę już czekał na ten złowieszczy autobus, gdyż jego pora odjazdu wydała mi się zbyt odległa.

Wtedy to właśnie dostrzegłem chylącą się już ku ruinie remizę strażacką, a w jej pobliżu starego człowieka o czerwonej twarzy, zmierzwionej brodzie i załzawionych oczach, ubranego w łachmany, który siedział na ławce i rozmawiał z dwoma strażakami, wyglądającymi co prawda normalnie, ale bardzo niechlujnie. Był to niewątpliwie Zadok Allen, ten zwariowany, zapijaczony dziewięćdziesięciosześcioletni starzec, którego opowieści o Innsmouth i jego tajemniczych losach były tak niewiarygodne i koszmarne.

.III.

Musiał to chyba sprawić jakiś przewrotny chochlik albo jakieś sardoniczne przyciąganie niepojętych, tajemniczych sił, że zmieniłem plany. Postanowiłem przecież ograniczyć swoje obserwacje wyłącznie do architektury i szedłem spiesznie w kierunku placu, aby znaleźć tam jakiś środek lokomocji i wydostać się z tego miasta rozkładu i śmierci, ale widok starego Zadoka Allena skierował moje myśli gdzie indziej i z pewnym wahaniem zwolniłem kroku.

Wiedziałem, że ten stary człowiek opowiada tylko tajemnicze, chaotyczne i niewiarygodne legendy, zostałem też ostrzeżony, że tutejsi ludzie nie lubią, aby z nim rozmawiać, że jest to nawet niebezpieczne, ale to, że ten wiekowy świadek zaniku miasta, a pamiętający jeszcze

najdawniejsze lata, kiedy przyplływały tu statki i pracowały fabryki, działał z tak przyciągającą siłą, mimo dużej dozy rozsądku nie mogłem się temu oprzeć. Przecież najdziwniejsze i najbardziej niewiarygodne mity są często symbolem lub alegorią opierającą się na prawdzie, a stary Zadok mógł widzieć to wszystko, co toczyło Innsmouth przez dziewięćdziesiąt lat. Ciekawość okazała się silniejsza niż ostrożność i w młodzięcym egotyzmie wyobraziłem sobie, że dotrę do samego załączka historii dzięki bezładnej, niezwyklej opowieści, do jakiej pobudzę go za pomocą whisky.

Zdawałem sobie sprawę, że tam go zagadnąć nie mogę, bo strażacy natychmiast to zauważą i zaoponują. Postanowiłem więc zdobyć pochodzący z przemytu alkohol w miejscu wskazanym przez młodego sprzedawcę ze sklepu spożywczego; powiedział, że można go tam kupić w dowolnej ilości. Potem przejdę się koło remizy i niby przypadkowo natknę się na Zadoka, kiedy ten zacznie swoją zwykłą włóczęgę. Wiedziałem przecież, że Zadok jest bardzo niespokojny, że często krąży przy remizie strażackiej przez parę godzin.

Butelkę whisky zdobyłem bez trudu, choć wcale nie tanio, na tyłach obskurnego wielobranżowego sklepu tuż koło placu na Eliot Street. Brudny facet, którego tam zastałem, nosił ślady „człowieka z Innsmouth”, ale na swój sposób był uprzejmy; był pewnie przyzwyczajony do takiego obyczaju obcych przybyszów – kierowców ciężarówek, ludzi, którzy kupowali tu złoto, i temu podobnych – od czasu do czasu pojawiających się w mieście. Znalazłszy się z powrotem na placu stwierdziłem, że szczęście mi dopisuje, ledwo bowiem wyszedłem za róg Gilman House, ujrzałem wysoką, chudą, obszarpaną postać Zadoka Allena. Zgodnie z powziętym planem przyciągnąłem jego uwagę wymachując dopiero co zakupioną butelką. Wkrótce przekonałem się, że podąża za mną, ja zaś skręciłem w Waite Street, w stronę dzielnicy najbardziej ze wszystkich opustoszałej.

Posługując się planem narysowanym przez chłopca zmierzałem w stronę bezludnego, południowego brzegu rzeki, który już przedtem zwiedziłem. Tylko na odległym falochronie widać było paru rybaków; a posunąwszy się jeszcze dalej na południe, mogłem już być poza zasięgiem ich wzroku, usiąść wraz z Zadokiem w pustej przystani i przez nikogo nie obserwowany wypytywać go przez czas nieokreślony. Nim zdążyłem dojść do Main Street, dobiegło mnie z tyłu ciche i świszczące wołanie: – Hej, panie! – Pozwoliłem mu zbliżyć się do siebie i pociągnąć parę łyków z butelki.

Kiedy tak szliśmy pośród wszechobecnego spustoszenia i zrujnowanych w obłądny sposób domów, nastawiłem uszy, ale stary człowiek nie był jeszcze skory do rozmowy. Wreszcie pomiędzy rozpadającymi się murami z cegły ujrzałem rozległą piłą porośniętą trawą, a ciągnący się w stronę morza, i długą, mocno zachwaszczoną przystań. Kamienne słupy nad wodą, porośnięte mchem, obiecywały wygodne miejsce do siedzenia, a dzięki ruinom magazynów, znajdujących się na północy, mogliśmy być niewidoczni. Tutaj, pomyślałem, będzie idealne miejsce na długą, sekretną pogawędkę; tak więc poprowadziłem mego współtowarzysza ścieżką w dół i wybrałem dogodne miejsce do siedzenia pośród omszałych kamieni. Powietrze, przesiąknięte śmiercią i spustoszeniem, było upiorne, a zapach ryb wprost nie do zniesienia; postanowiłem jednak, że nic mnie nie może odstraszyć.

Zostało mi około czterech godzin na rozmowę, bowiem autobus do Arkham odjeżdżał o ósmej. Zacząłem więc dozować alkohol staremu pijaczynie, a sam pochłaniać skromny posiłek. Starąłem się tak dozować, żeby nie przeciągnąć miary, nie chciałem bowiem, aby gadulstwo pod wpływem upojenia alkoholem przeszło w zamroczenie. Po upływie godziny nie był już tak milczący, ale ku memu rozczarowaniu wciąż jeszcze omijał moje pytania na temat Innsmouth i tajemnej przeszłości tego miasta.

Mamrotał cóż o obecnej sytuacji, wykazywał znajomość licznych gazet, zdradzał skłonność do filozofowania w wiejskim, moralizatorskim stylu.

Pod koniec drugiej godziny zacząłem mieć wątpliwości, czy butelka whisky wystarczy, i zastanawiałem się, czy nie zostawić na chwilę Zadoka i nie pójść po następną. Wtedy właśnie nadarzyła się okazja, której nie były w stanie stworzyć moje pytania; usłyszawszy charczącą, bezładną mowę starego człowieka pochyliłem się do przodu i zacząłem się wsłuchiwać z napiętą uwagą. Siedziałem tyłem do morza cuchnącego rybami, on zaś siedział frontem i nagle, ni stąd, ni zowąd, jego wzrok powędrował ku nisko położonej odległej linii Diabelskiej Rify, wyłaniającej się wyraźnie i wprost fascynująco spośród fal. Widok ten najwyraźniej mu się nie podobał, bo zaczął sypać przekleństwami, a następnie szeptać coś tajemniczym głosem i ukradkowo rozglądać się na wszystkie strony. Pochylił się ku mnie, chwycił gwałtownie za poję płaszcz i zaczął robić uwagi, nie budzące wątpliwości.

– Tam się to wszystko zaczęło... to przekłete miejsce, gdzie zaczyna się głęboka woda. Brama do piekieł... żadna linia sondy nie sięgnie. O. kapitan Obed to zrobił... to on znalazł więcej, niż trzeba, niż było dobre dla niego na wyspach Morza Południowego.

Wtedy wszystkim źle się działo. Handel upadł, fabryki przestały się opłacać... nawet te nowe... a najlepsi z naszych ludzi zginęli na statkach korsarskich w wojnie 1812 roku albo zginęli na brygu „Elizy” i płaskodennej łodzi „Ranger” – własność Gilmana. Obed Marsh miał trzy pływające statki – brygantynę „Columby”, bryg „Hetty” i barcę „Królowa Sumatry”. On jeden prowadził handel z Indiami Wschodnimi i na Pacyfiku, choć barkentyna „Malajska Młoda Panna” Esdrasa Martina jeszcze w dwudziestym ósmym ryzykowała.

Nie było drugiego takiego jak kapitan Obed – to diabelskie nasienie! He he! Pamiętam różne rzeczy, mówił, że wszyscy ludzie, co chodzą do

kościół chrześcijański, są głupi, że znoszą trudy i są pokorni. Mówił, że powinni mieć innych bogów, jak ludzie w Indiach, takich bogów, co dają dużo ryb za ich ofiary i odpowiadają na modlitwy ludzi.

Matt Eliot, jego pierwszy oficer, też mówił dużo, tylko że był przeciw ludziom, co robili pogańskie rzeczy. Opowiadał o wyspie na wschód od Othaheite, gdzie są kamienne ruiny, starsze niż wszystko na świecie, i że podobne są na Ponape, na Karolinach, ale z wyrzeźbionymi twarzami, które wyglądają jak te wielkie postacie na Wschodniej Wyspie. Niedaleko była mała wulkaniczna wyspa, gdzie były inne ruiny – wszystkie tak zniszczone, jakby stały przedtem pod wodą, i z obrazkami strasznych potworów.

Tak, panie, Matt mówił, że mieli tam dużo ryb do łapania i śmieszne bransolety i naramienniki, i pierścienie na głowie zrobione z dziwnego złota, pokryte obrazkami potworów takich jak na ruinach na małej wyspie – coś jakby ryby podobne do żab albo żaby podobne do ryb, a wszystkie narysowane w różnych pozach, jakby to byli ludzie. Nikt od nich nie mógł wydobyć, skąd to wzięli, a wszystkie inne ludy dziwiły się, jak oni potrafią łowić tyle ryb, kiedy wszędzie jest mało. Matt też się dziwił i kapitan Obed też. Obed jeszcze zauważył, że różni młodzi ludzie znikają tam co roku na zawsze. Zauważył też, że wszyscy tam wydają się dziwni nawet Kanakom.

Udało się Obedowi wydostać prawdę od tych pogan. Nie wiem, jak to zrobił, ale zaczął kupować od nich te rzeczy jakby ze złota. Pytał, skąd je mają i czy mogą mieć więcej, aż w końcu dowiedział się wszystkiego od ich starego wodza – Walakea, tak go nazywali. Nikt, tylko Obed mógł uwierzyć staremu diablowi, ale kapitan mógł odczytywać tych ludzi, jakby z księzek. Hę hę! Nikt nie wierzy mi teraz, kiedy mówię, i pan też chyba nie wierzy, młody człowieku, choć jak się na pana popatrzy, ma pan takie same bystre oczy jak Obed.

Szept starego człowieka jeszcze bardziej przycichł i stał się tak złowieszczy, że aż dreszcz mnie przeszedł, choć przecież wiedziałem, że jego opowieść jest tylko wytworem fantazji pijaka.

– Tak, panie. Obed wiedział, że są rzeczy na ziemi, o jakich ludzie nigdy nie słyszeli i nie uwierzyliby, jakby usłyszeli. Zdaje się, że ci Kanakowie składali w ofierze uda młodych chłopców i dziewczyn jakimś bogom, co żyją pod morzem, i dostawali za to od nich wszystko, o co poprosili. Spotykali się z nimi na małej wyspie z dziwnymi ruinami i chyba te okropne obrazki z żabo-rybimi potworami były odbiciem tych bogów, jakich tam spotykali. Były to chyba takie stwory, jak syreny, o których opowiadało. Mieli różne miasta na dnie morza, a ta wyspa stamtąd się wysunęła. Podobno były jeszcze jakieś żywe stwory w kamiennych budowlach, jak się wyspa wyłoniła na powierzchnię. Stąd Kanakowie wiedzą, że była przedtem na dnie. Rozmawiali na migi i od razu nawiązali z nimi interes.

Te istoty lubią ofiary z ludzi. Już bardzo dawno je dostawały, ale potem straciły kontakt ze światem. Co robią z tymi ofiarami, tego to ja nie wiem i chyba Obed też nie miał odwagi spytać. Ale odpowiadało to poganom, bo przyszły na nich ciężkie czasy i w rozpaczycy szli na wszystko. Oddają pewną ilość młodych ludzi tym morskim potworom dwa razy do roku... w maju i na Wszystkich Świętych... regularnie. Te potwory zgodziły się dać za to dużo ryb... ściągają je z całego morza... i jeszcze jakieś rzeczy ze złota co jakiś czas.

Jak mówię, ludzie spotykali te potwory na małej wulkanicznej wyspie... popłynęli tam na łodziach ze swoimi ofiarami i przywieźli różne skarby niby ze złota. Z początku te potwory nigdy nie przybywały na główną wyspę, ale potem i tam się zjawily. Chyba chciały się spotykać z ludźmi i w

wielkie dni zaczęły się przyłączać do świętowania – w Święto Majowe i we Wszystkich Świętych. Bo wie pan, one mogą żyć w wodzie i na powietrzu... chyba to się nazywa amfibia. Kanakowie powiedzieli, że ludzie z innych wysp mogliby ich wyłapać, jakby się o nich dowiedzieli, ale oni powiedzieli na to, że się nie boją, bo oni by mogli zniszczyć wszystkich ludzi, gdyby chcieli... gdyby zastosowali takie znaki, jak dawne Stare Bóstwa, nie wiem jakie. Ale nie chcą i chowają się w wodzie, gdy ktoś pojawi się na wyspie.

Jeśli chodzi o łączenie się z tymi żabo-rybami, to Kanakowie tego unikali, ale potem dowiedzieli się czegoś, co nadało temu inny sens. Wydaje się, że ludzie są jakoś pokrewni tym wodnym bestiom, że wszystko, co żywe, pochodzi spod wody i wystarczy tylko trochę coś zmienić, a mogą tam wrócić. Te potwory powiedziały Kanakom, że jak wymieszać krew, to dzieci z początku będą wyglądać całkiem jak ludzie, dopiero później będą się zmieniać jak one, aż w końcu przeniosą się do wody i przyłączą do nich tam w dole. A co ważne, młody człowieku, to jak już staną się rybą i pójdą w wodę, nigdy nie umierają. Bo te potwory nigdy nie umierają, chyba że je ktoś zabije.

I tak, panie, jak Obed poznał tych wyspiarzy, mieli w sobie już dużo krwi tych potworów spod wody. Jak się starzeli i było to już widać, siedzieli w ukryciu, dopóki nie poczuli, że chcą iść do wody. Jedni zmieniali się szybciej, a inni nigdy nie zmieniali się tak, żeby iść do wody, ale przeważnie się zmieniali, tak przynajmniej te potwory mówiły. Ci, co się rodzili bardziej do nich podobni, zmieniali się wcześniej, a ci, co bardziej byli podobni do ludzi, podobno żyli na wyspie więcej niż siedemdziesiąt lat, chociaż wypuszczali się głęboko w wodę, żeby spróbować. Ci, co już weszli pod wodę, zwykle przychodzą w odwiedziny, tak że człowiek może

rozmawiać ze swoim prapraprapradziadem, co opuścił ziemię pięćset albo więcej lat temu.

Wszyscy oni już nie myślą wcale o śmierci – chyba że giną na łodziach w wojnie z innymi wyspiarzami albo jako ofiary dla bogów na dnie morza, albo od ukąszenia węża, plagi, albo jakichś nagłych dolegliwości czy czegoś innego, nim zdążą skoczyć w wodę – tylko czekają na zmianę, co wcale nie wydaje im się straszne. Uważali, że to, co będzie potem, będzie tak samo dobre, jak to, co zostawią, i chyba Obed też tak pomyślał, jak się zastanowił nad tym, co Walakea mu opowiedział. Walakea jako jeden z niewielu nie miał w sobie rybiej krwi, był z linii królów, którzy się łączyli tylko z rodzinami królów na innych wyspach.

Walakea pokazał Obedowi różne obrzędy i śpiewy, jakie dokonywali razem ze stworami z morza, i pokazał mu niektórych ludzi we wsi, jak zmieniali ludzkie kształty. Tylko że nigdy nie pokazał tych, co wyszli prosto z morza. Na koniec dał mu coś, co było zrobione z ołowiu czy czegoś innego, i powiedział, że to ściąga ryby z każdego miejsca w wodzie, gdzie ryby się gnieźdzą. Trzeba to tylko wrzucić w wodę i odprawić odpowiednie modły. Walakea pozwolił, żeby to rozrzucić po całym świecie, tak żeby każdy mógł znaleźć ryby i łowić, jak będzie potrzebował.

Matowi to się nie podobało i mówił, żeby się Obed trzymał od wyspy z daleka. Ale Obed się tam wrywał, a jak się okazało, że te złote rzeczy są tanie, uznał, że opłaca mu się tym zająć, i tak trwało to przez parę lat, aż tyle nagromadził, że mógł założyć rafinerię w starym, zniszczonym młynie Waite'a. Nie sprzedawał tego, bo nie chciał, żeby ludzie go wypytywali. Jego cała załoga dostawała kawałki złota i mogła je sprzedawać, tylko wszyscy musieli obiecać, że będą milczeć. Pozwolił też swoim kobietom stroić się w złoto, takie, co bardziej pasowało do ludzi.

Ale wróćmy do trzydziestego ósmego roku – miałem wtedy siedem lat – kiedy to Obed zobaczył, że wszyscy ludzie z wyspy wyginęli w wyprawach morskich. Chyba inni wyspiarze pojęli, co się dzieje, i wzięli wszystko w swoje ręce. Pewnie znali stare, magiczne znaki, a tych tylko te stwory wodne się bały, jak same mówiły. Co tym Kanakom przypadnie jeszcze, kiedy morze wyrzuci z siebie jakąś wyspę ze starymi ruinami, jeszcze sprzed potopu. Były to pobożne intencje – nie zostawili nic na wyspie ani na małej wulkanicznej wyspie, tylko te ruiny, zbyt potężne, żeby je zburzyć. W niektórych miejscach były rozrzucone małe kamienie – jak zabawki – a na nich coś, co nazywacie chyba swastyką. Może to były znaki Starych Bóstw? Wszystko to wymazali, nie zostało śladu po złotych rzeczach, a żaden z Kanaków w okolicy nie piśnie o tym słowa. Nawet nie powiedzą, że na wyspie byli kiedyś jacyś ludzie.

To, oczywiście, mocno dotknęło Obeda, bo urwał mu się taki wspaniały handel. Dotknęło całe Innsmouth, bo wtedy, co miał właściciel statku, miała i załoga. Większość ludzi w mieście przyjęła to potulnie jak owce, ale było im ciężko, bo ryb było coraz mniej, a i fabryki upadały.

Wtedy Obed zaczął wyzywać ludzi, że są tępe barany, że się modlą do chrześcijańskiego nieba, a ono im wcale nie pomaga. Powiedział, że zna ludzi, którzy się modlą do bogów, co dają wszystko potrzebne ludziom, i powiedział, że jak grupa ludzi przy nim stanie, to może on wejdzie w kontakt z takimi mocami, że będą mieli dużo ryb i dużo złota. Ci, co służyli na „Królowej Sumatry” i widzieli wyspę, wiedzieli, o czym on mówi, i niespieszna im było zbliżać się do morskich stworów, ale ci, co o niczym nie wiedzieli, zaciekawili się, co Obed mówi, i zaczęli go pytać, jak mogą przejść na taką wiarę, co da im korzyści.

W tym momencie stary człowiek przestał mówić, coś mamrotał i popadł w posępne, pełne lęku milczenie; coraz to oglądał się nerwowo za siebie, to

znów wpatrywał się w odległą czarną rafę. Zagadnąłem go, ale nie odpowiedział, zrozumiałem więc, że muszę mu pozwolić opróżnić butelkę. Ta obłąkańcza opowieść zafascynowała mnie, bo zrozumiałem, że zawarta jest w niej surowa alegoria, oparta na dziwnym wyglądzie i zachowaniu ludzi z Innesmouth i wzbogacona twórczą fantazją i egzotyczną legendą. Ani przez moment nie wierzyłem, że opowieść ta może zawierać w sobie jakieś rzeczywiste, faktyczne elementy; jednakże to sprawozdanie nawiązywało do autentycznego koszmaru, choćby dlatego, że były w nim wzmianki o niezwykłych klejnotach pokrewnych tej niesamowitej tiarze, jaką widziałem w Newburyport. Być może ozdoby te pochodzą z jakiejś dziwnej wyspy; możliwe też, że niesamowita opowieść jest wymysłem nieżyjącego już Obeda, a nie tego starego pijaka.

Podąłem Zadokowi butelkę, wysączył ją do dna. Wprost zdumiewające, że mógł pochłonąć aż tyle whisky, a jego głos nadal brzmiał piskliwie i świszcząco, a nie ochryple. Oblizał szyjkę butelki i wsunął ją do kieszeni, po czym zaczął się kiwać i coś szeptać cicho do siebie. Pochyliłem się w jego stronę, żeby wyłowić jakieś nieartykułowane słowa, a wtedy wydało mi się, że pod brudnymi krzaczastymi wąsami czai się sardoniczny uśmiech. Tak, rzeczywiście wypowiadał jakieś słowa, a ja zaczynałem chwycić ich sens.

– Biedny Matt... on zawsze był przeciwny, próbował przeciągać ludzi na swoją stronę, długo rozmawiał z pastorami... na próżno... wypędzili z miasta pastora kościoła parafialnego kongregacjonalistów i metodystów, nigdy już więcej nie zobaczyłem wielebnego Babcocka, pastora metodystów... Gniewnego Jehowy – byłem wtedy mały, ale słyszałem to, co słyszałem, i widziałem to, co widziałem... Dagon i Ashtoreth... Belial i Belzebub... złoty cielec i bożki Canaan, i Filistyni... babilońska szkarada... Mene, mene tekel, upharsin...

Zamilkł znowu, a jego załzawione niebieskie oczy wzbudziły we mnie obawę, że jest już jednak bliski całkowitego zamroczenia. Ale kiedy go delikatnie potrząsnąłem za ramię, odwrócił się w moją stronę z zaskakująco czujnością i znowu wyrzucił z siebie jakieś tajemnicze słowa.

– Nie wierzysz mi, co? Hę, hę, hę... to powiedz mi, młody człowieku, po co kapitan Obed i jeszcze dwudziestu innych ludzi pływało ciemną nocą do Diabelskiej Rafy i śpiewało tam coś tak głośno, że słyhać ich było w mieście, kiedy wiał w tę stronę wiatr? No powiedz, wiesz po co? A dlaczego Obed ciągle wrzucał coś w tę wodę po drugiej stronie rafy, gdzie jest tak głęboko, że nie dosięgniesz tam sondą? Powiedz mi, co on zrobił z tą rzeczą z ołowiu, co mu dał Walakea? Co, chłopcze? i co oni tam wozili w majowy wieczór, a potem we Wszystkich Świętych? i dlaczego mają nowych kapłanów – ci sami faceci, co kiedyś byli marynarzami – i noszą te dziwne szaty, a głowy przykrywają tymi jakby ze złota rzeczami, co je przywiózł Obed, hę?

Załzawione niebieskie oczy stały się teraz prawie dzikie i szalone, a brudna biała broda aż się zjeżyła. Stary Zadok musiał zauważyć, że się trochę cofnąłem, i zachichotał złośliwie.

– Hę, hę, hę, hę! A więc widzisz? Może chciałbyś być wtedy na moim miejscu, kiedy nocą patrzyłem daleko w morze ze strychu w moim domu? Mówię ci, dzieci dobrze słyszą, a ja łowiłem wszystko, co tylko plotkowali o kapitanie Obędzie i tych ludziach na rafie! Hę, hę, hę! A co na to powiesz, jak kiedyś w nocy wziąłem lornetkę okrętową mojego ojca na strych i zobaczyłem rafę pełną jakichś postaci, co się szybko opuściły w wodę, jak tylko pokazał się księżyc? Obed i jego ludzie byli na łodzi, ale te stwory rzuciły się do głębokiej wody i już nie wyszły... Chciałbyś być wyrostkiem, co siedzi sam na strychu i widzi coś, co nie ma ludzkich kształtów, co?... hę, hę, hę...

Starzec zaczynał wpadać w histerię, a mnie ogarnął dreszcz przerażenia. Położył mi na ramieniu swoje sękate szpony, które zdawały się drżeć, bynajmniej nie z radości.

– A jakbyś tak kiedy zobaczył załadowaną łódź Obeda za rafa, a potem... już następnego dnia... dowiedział się, że jakiś młody człowiek zniknął z domu? Czy widział kto kiedy skórę albo włosy Hirama Gilmana, co? Albo Nicka Pierce'a, albo Luella Waite, Adonirama Southwicka czy Henry Garrisona? Hę, hę, hę, hę... Te stwory mówiące na migi rękami... one miały prawdziwe ręce...

Obed wtedy znowu stanął na nogi. Ludzie widzieli, jak jego trzy córki zaczęły nosić na sobie złoto, a przedtem tego nie widzieli. No i z komina rafinerii wylatywał dym. Innym też zaczęło się powodzić. W przystani było teraz dużo ryb i tylko niebo wie, jakie ładunki wożono teraz statkami do Newburyport, Arkham i Bostonu. Wtedy Obed uruchomił starą boczną koleją przez miasto. Rybacy z Kingsport usłyszeli o połowach i przyплыnęli słupami, ale wszyscy przepadli. Nikt ich już nigdy nie zobaczył. Wtedy to nasi ludzie zorganizowali Ezoteryczny Porządek Dagona i kupili budynek Masonów... hę, hę, hę! Matt Eliot był masonem i załatwiał sprzedaż, ale potem zniknął na zawsze.

Pamiętaj, ja nie mówię, że Obed chciał zrobić wszystko tak, jak było na wyspie Kanaków. I chyba z początku nie chciał, żeby się mieszać ze stworami ani chować młodych po to, żeby potem zamieniały się w ryby i wiecznie żyły. Chciał, żeby mieli złoto, chciał im dobrze płacić i wydaje mi się, że wszyscy z początku byli zadowoleni...

Już w czterdziestym szóstym miasto przybrało inny wygląd i myślało inaczej. Za dużo ludzi brakowało... za dużo szalonych modłów na niedzielnych zgromadzeniach... za dużo rozmów o tej rafie. Kiedyś powiedziałem radnemu Mowry, co widziałem ze strychu, i chyba się trochę

przyczyniłem. Którejś nocy Obed i jego ludzie popłynęli do rafy i usłyszałem strzały. Nazajutrz Obed i trzydziestu dwóch ludzi byli w więzieniu, a każdy się zastanawiał, co się święci i o co ich oskarżają. Boże, gdyby ktoś przewidział... w parę tygodni później, kiedy nikt nic nie wrzucał do morza...

Zadok zaczął objawiać przerażenie i wyczerpanie, pozwoliłem mu więc milczeć przez chwilę, ale coraz to zerkałem z lękiem na zegarek. Zaczął się przypląd, słychać było łoskot fal. Zadowolony byłem z tego, bo przy wysokiej wodzie może nie będą tak cuchnęły te ryby. Znowu wyteżyłem słuch, żeby zrozumieć coś z szeptu Zadoka.

– Ta straszna noc... widziałem je wtedy. Byłem na strychu... całe hordy... tłumy... na rafie i płynęły do przystani, a także do Manuxet... Boże, co się tej nocy działo na ulicach Innsmouth... dobijały się do naszych drzwi, ale ojciec nie otworzył... potem wyskoczył przez okno w kuchni ze swoim muszkietem, chciał znaleźć radnego Mowry i dowiedzieć się, co on może zrobić. Całe stosy trupów i umierających... strzały i krzyki... wrzaski na Old Square i na Town Square i na New Church Green... więzienie otwarte... proklamacja... zdrada... nazwano to epidemia, jak zjawili się ludzie i zobaczyli, że brakuje połowy naszych mieszkańców... nikt nie został, tylko ci, co się przyłączyli do Obeda i tych stworów... milczenie... już nigdy więcej nie zobaczyłem mojego ojca.

Starzec sapał, pot się z niego lał strugami. Mocno ścisnął mnie za ramię.

– Wszystko się wyjaśniło rano... ale zostały ślady. Obed bierze wszystko w swoje ręce i mówi, że trzeba dużo zmienić... one będą z nami w czasie zgromadzenia oddawać cześć bogom i niektóre domy muszą przyjąć ich jak gości... chcą się z nami mieszać jak z Kanakami, a on nie uważa, że trzeba ich przed tym powstrzymać. Zmienił się Obed... oszalał na tym punkcie.

Mówi, że one nam sprowadzają ryby i skarby i powinny dostać to, czego żądają...

Na zewnątrz nic się nie miało zmienić, tylko trzeba nam unikać obcych, o ile chcemy wiedzieć, co jest dla nas dobre. Wszyscy musieliśmy złożyć przysięgę Dagona, a potem jeszcze niektórzy drugą i trzecią przysięgę. Te przysięgi miały nam szczególnie pomóc, dać specjalne nagrody... złoto i inne rzeczy. Nie ma sensu się sprzeciwiać, bo tam głęboko są ich miliony. Raczej nie powstaną przeciw ludziom, żeby ich zniszczyć, ale jak będą zmuszone mogą zrobić dużo. Nie znamy starych zaklęć, aby się ich pozbyć, jak to zrobili ludzie z Południowego Morza, a Kanakowie nigdy nie zdradzą swoich sekretów.

Trzeba im składać ofiary i różne ozdoby dzikusów i dawać schronienie w mieście, jak będą chcieli, a wtedy zostawia nas w spokoju. Nie trzeba dopuścić, żeby obcy coś podpatrzyli i opowiedzieli na zewnątrz. Wszyscy wierni – Porządku Dagona – i dzieci nigdy nie umrą, tylko wrócą do Matki Hydry i Ojca Dagona, od których wszyscy pochodzimy... la! la! Cthulhu fhtagn! Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah-nagl fhtagn...

Stary Zadok zaczął najwyraźniej bredzić; wstrzymałem oddech. Biedak, jakież żałosne halucynacje powodował alkohol, a także nienawiść do rozkładu, obcości i chorób w tym płodnym i skłonny do wyobraźni mózgu! Zaczął teraz jęczeć, a łzy spływały po głębokich bruzdach policzków aż na samą brodę.

– Boże, ja to wszystko widziałem, miałem piętnaście lat... Mene, mene, tekel, upharsin!... ludzi, co zniknęli, i tych, co zostali zabici... a tych, co opowiadali w Arkham albo Ipswich czy gdzie indziej nazwali wariatami, jak i ty mnie teraz nazywasz... ale Boże, co ja widziałem... i mnie by zabili już dawno za to, co wiem, ale złożyłem pierwszą i drugą przysięgę Dagona, więc i one mnie chronią, chyba że ich sąd by dowiódł, że mówię o znanych

mi rzeczach świadomie... ale nie złożę trzeciej przysięgi... za nic w świecie...

A potem znowu w czasie Wojny Domowej, kiedy dzieci urodzone w czterdziestym szóstym zaczęły dorastać... to znaczy niektóre. Bałem się... nigdy już po tej strasznej nocy nie wyglądałem, nigdy już nie widziałem żadnego z tych stworów... z bliska. Nigdy... Poszedłem na wojnę i żebym miał trochę oleju w głowie, to bym nie wrócił i gdzieś się osiedlił. Ale moi pisali, że nie jest źle. Chyba to dlatego, że po sześćdziesiątym trzecim były w mieście oddziały rządowe. Po wojnie znowu zrobiło się źle. Ludzi było coraz mniej... fabryki i sklepy pozamykano... statki nie przyplływały i przystań stanęła... kolej nie chodziła... ale one... one nie przestały wpływać do rzeki i wypływać... z tej przeklętej rafy szatana... i coraz więcej okien na poddaszach zabijano deskami i coraz więcej hałasów było w domach, choć wydawało się, że nikogo tam nie ma...

Ludzie w okolicy mówili o nas różne historie, pewnie słyszałeś ich dużo, skoro mnie pytasz... historie o tym, co czasem udało im się zobaczyć... i o tych dziwnych skarbach i klejnotach, co skądś się pojawiają i jeszcze nie są stopione... ale nikt nie wie nic konkretnego. Nikt w nic nie wierzy. Nazywają to złotem z łupu pirackiego i mówią, że ludzie z Innsmouth mają obcą krew albo są nienormalni czy coś w tym rodzaju. A ci, co tutaj żyją, zniechęcają obcych, jak mogą, nie trzeba być ciekawym, zwłaszcza nocą. Bestie niszczą ludzi – konie nie są mułami – ale jak się wynoszą, wtedy jest w porządku.

W czterdziestym szóstym kapitan Obed wziął sobie drugą żonę, nikt jej przedtem w mieście nie widział. Niektórzy mówią, że nie chciał, ale został przez nich zmuszony, jak ich zaprosił – miał z nią troje dzieci – dwoje zniknęło wcześniej, a jedna dziewczyna, niepodobna do nikogo, uczyła się

w Europie. Obed podstępem wydał ją za mąż w Arkham za faceta, co niczego nie podejrzewał. Teraz to już nikt nie chce mieć do czynienia z nikim z Innsmouth. Barnabas Marsh, ten, co teraz prowadzi rafinerię, jest jego wnukiem po pierwszej żonie, syn Onesiphorusa, najstarszego syna Obeda, ale jego żona była jedną z nich i nigdy jej się nigdzie nie widziało.

Teraz Barnabas jest już zmieniony. Nie może zamknąć oczu i ma inny kształt. Mówią, że jeszcze nosi ubranie, ale niedługo pójdzie do wody. Może już nawet próbował... czasami idą w wodę na krótko, zanim pójda na dobre. Już go nikt nie oglądał jakieś dziewięć albo dziesięć lat. Nie wiem, co czuje jego biedna żona... ona jest z Ipswich, nie zlinczowali Barnabasa, jak się do niej zalecał pięćdziesiąt lat temu. Obed... on umarł w siedemdziesiątym ósmym i całe następne pokolenie już nie istnieje... dzieci z pierwszej żony nie żyją, a reszta... Bóg jeden wie...

Odgłos przyływu stawał się coraz silniejszy, mijał płaczliwy nastrój starca, był coraz bardziej zalękniony i czujny. Co chwila przerywał opowieść i oglądał się nerwowo przez ramię w stronę rafy, a choć wszystko, co mówił, wydało mi się absurdalne, mimo to i ja zacząłem się czujnie rozglądać. Zadok drżał teraz i jakby starał się dodać sobie odwagi mówiąc głośno:

– Hej, ty, czemu nic nie mówisz? Jak by ci się podobało życie w tym mieście, gdzie wszystko gnije i umiera, a potwory czołgają się, beczą, szczekają i podskakują w ciemnych piwnicach i na poddaszach, wszędzie, gdzie się obrócisz? No co? Podobałoby ci się, jakbyś tak co noc słyszał wycie w kościołach i w budynku Porządku Dagona i jakbyś wiedział, co oni tam robią? I jakbyś słuchał tego, co robią tam na rafie w maju i we Wszystkich Świętych? Myślisz, że stary zwariował? No co, mój panie, powiem ci, że to jeszcze nie najgorsze.

Zadok teraz już naprawdę krzyczał, a szaleństwo w jego głosie poruszyło mnie bardziej, niżbym sobie tego życzył.

– Nie wytrzeszczaj na mnie oczu... mówię ci, że Obed Marsh jest w piekle i musi już tam zostać! Hej, hej... w piekle, mówię ci! Nie może mnie dopaść... niczego nie zrobiłem ani nic nikomu nie powiedziałem...

Słuchaj, młody człowieku! Nawet jak nikomu nic nie powiedziałem, to teraz to zrobię. Siedź cicho i słuchaj... tego jeszcze nikomu nie powiedziałem... mówiłem, że już nigdy więcej nie podglądałem po tamtej nocy... ale ja widziałem wszystko, tak samo jak wtedy!

Chcesz wiedzieć, co jest takie okropne? Najgorsze jest nie to, co te rybie diabły zrobiły, ale co robią. Przynoszą ze sobą do miasta różne rzeczy od lat, ale teraz już trochę mniej. Domy na północ od rzeki między morzem i Main Street są ich pełne – tych diabłów i tego, co ze sobą przynoszą – a jak już będą gotowe... mówię, jak już będą gotowe... słyszałeś kiedy o shoggoth?

Hej, słyszysz mnie? Mówię ci, wiem, jakie one są... widziałem je w nocy, kiedy... eeh! ihaaa!...

O mało nie zemdlałem usłyszawszy krzyk starca pełen nieludzkiego strachu. Jego oczy wpatrywały się w cuchnące morze, a twarz stała się maską przerażenia godną tragedii greckiej. Szponiaste palce mocno wpił mi w ramię, ale nie poruszył się, kiedy odwróciłem głowę, żeby spojrzeć na to, co on widział.

Niczego jednak nie zauważyłem, tylko większy przyptyw i gwałtowniejsze falowanie w jednym miejscu, niezależnie od długich, rozproszonych fal przybrzeżnych. Wtem Zadok zaczął mnie szarpać, odwróciłem się więc w jego stronę, trzepotał w lęku powiekami i mamrotał coś niewyraźnie. Po chwili zacząłem łowić słowa wypowiedane drżącym szeptem:

– Uciekaj stąd uciekaj! Zobaczyły nas... uciekaj, jak ci życie miłe! Nie czekaj... one już wiedzą... Uciekaj... prędko... z tego miasta

Następna ciężka fala uderzyła o kruche mury starej przystani, a szept starca znowu przerodził się w nieludzki, mrozący krew w żyłach krzyk: – Eeh! Ihaaa!...

Nim zdążyłem pozbierać rozbiegane myśli, puścił moje ramię i rzucił się jak oszalały w stronę ulicy, kierując się na północ, obok ruin magazynu.

Raz jeszcze spojrzałem na morze, ale nic tam nie zobaczyłem. A kiedy znalazłem się na Water Street, nie było już nawet śladu po Zadoku Allenie.

.IV.

Nie jestem w stanie opisać, jaki ogarnął mnie nastrój po tym wyczerpującym epizodzie... szalonym i żalonym, groteskowym i strasznym. Sprzedawca ze spożywczego sklepu przygotował mnie na to, a jednak rzeczywistość okazała się zbyt oszalamiająca, pozostawiła mi zamęt w głowie. Opowieść wydała mi się dziecinna, a mimo to chorobliwy niepokój i strach Zadoka udzielił się i mnie, łącząc się z wcześniejszą już odrazą do tego miasta i jego wyniszczającej wszystko, niepojętej tajemnicy.

Postanowiłem później zagłębić się w tę opowieść i wyłowić jakieś źródło historycznej alegorii, teraz jednak chciałem o tym wszystkim zapomnieć. Zrobiło się już strasznie późno, na moim zegarku była 7.15, a autobus do Arkham odjeżdżał z Town Square o ósmej. Staralem się więc myśleć raczej o rzeczach praktycznych i obojętnych szybko maszerując przez puste ulice w stronę hotelu, w którym zostawiłem walizkę i w pobliżu którego był przystanek autobusowy.

Choć złocisty blask późnego popołudnia przydawał starym dachom i rozpadającym się kominom uroku mistycznego piękna i spokoju, co chwila rozglądałem się na wszystkie strony. Rad byłem, że się wkrótce wydostanę z tego cuchnącego i straszego Innsmouth, a jeszcze bardziej byłbym rad, gdybym mógł znaleźć jakiś inny środek lokomocji i nie musiał jechać z tym ponurym kierowcą Sargentem. A jednak nie pospieszyłem się, tak jak zamierzałem, bowiem w cichych zaułkach pełno było różnych ciekawych architektonicznych szczegółów, które warto było zobaczyć; i wydawało mi się, że bez trudu pokonam dalszą drogę w ciągu pół godziny.

Spojrząwszy na plan, jaki miałem przy sobie, zdecydowałem się wracać inną drogą, wybrałem więc Marsh Street zamiast State Street. Na rogu Fali Street dostrzegłem grupki szepczących coś ukradkiem ludzi, a kiedy znalazłem się na Town Square, okazało się, że już cały tłum zebrał się przy drzwiach Gilman House. Odniosłem wrażenie, że wszystkie wyłupiaste i nieruchome oczy wpatrują się we mnie, gdy odbierałem w hotelu walizkę. Marzyłem skrycie, aby nikt z tych odpychających ludzi nie okazał się moim współpasażerem.

Autobus z trzema pasażerami przytelepał się jeszcze przed ósmą, a stojący na chodniku osobnik o złym spojrzeniu zaczął coś szeptać niewyraźnie do kierowcy. Sargent wyjął worek z pocztą i plik gazet, po czym wszedł do hotelu; natomiast pasażerowie – ci sami ludzie, których widziałem rano, jak wysiedli w Newburyport – potoczyli się na chodnik i gardłowym głosem zaczęli rozmawiać z jakimś włóczęgą, przy czym na pewno nie był to język angielski. Wsiadłem do autobusu i zająłem to samo miejsce, co poprzednio, a wkrótce zjawił się Sargent mamrocząc coś swoim chrapliwym głosem w sposób szczególnie odrażający.

Okazało się, że nie mam szczęścia. Coś się popsuło w silniku, mimo że przybył tak punktualnie z Newburyport, i nie będzie mógł odbyć podróży

do Arkham. Nie było możliwości naprawy tego wieczora, nie było też żadnego innego środka lokomocji ani do Arkham, ani do nikąd. Sargent wyraził żal; niestety, muszę przenocować w hotelu. Koszt będzie na pewno niewielki, po prostu nie ma innej rady. Oszołomiony tą nagłą przeszkodą i przerażony myślą, że mam spędzić noc w tym zrujnowanym i nieoświetlonym mieście, wysiadłem z autobusu i wszedłem ponownie do hotelu, gdzie ponury i dziwnie wyglądający recepcjonista, pracujący na nocną zmianę, poinformował mnie, że mogę zająć pokój 428 na przedostatnim piętrze – duży, ale bez bieżącej wody – opłata wynosi jeden dolar.

Choć słyszałem już o tym hotelu w Newburyport, podpisałem się w rejestrze i zapłaciłem dolara. Ponury recepcjonista wziął moją walizkę i poprowadził mnie po trzeszczących schodach na trzecie piętro; wszystkie korytarze, które mijaliśmy, zdawały się całkowicie pozbawione życia. Mój pokój, mroczny, o dwóch oknach, umeblowany raczej prymitywnie, wychodził na posępne podwórko, otoczone niskimi, pustymi domami z cegły; z okien roztaczał się też widok na zniszczone dachy ciągnące się w kierunku zachodnim, a dalej już na bagienny krajobraz. W końcu korytarza znajdowała się łazienka – niezbyt przyjemny relikw z starą, marmurową umywalką i cynową wanną, słabą elektryczną żarówką i zbutwiało drewnianą boazerią na ścianach.

Było jeszcze widno, wyszedłem więc na Town Square, żeby zjeść gdzieś obiad; zewsząd, jak zauważyłem, obserwowali mnie przechodnie o chorobliwym wyglądzie. Sklep spożywczy był już zamknięty, musiałem więc wstąpić do restauracji, od której przedtem stroniłem. Obsługiwał ją pochylony, wąskogłowy mężczyzna o nieruchomych oczach oraz dziewczyna z płaskim nosem i niewiarygodnie dużymi, szorstkimi rękami. Z ulgą stwierdziłem, że jedzenie, jakie tu podawano, przyrządzone było

głównie z puszek i torebek. Zjadłem jarzynową zupę z krakersami, po czym wróciłem do mego posępnego pokoju w Gilman House, wzięwszy po drodze z rozklekotanego stojaka przy biurku recepcjonisty wieczorną gazetę i jakieś upstrzone muchami czasopismo. Zapadł zmrok, zapaliłem więc jedyną słabą żarówkę nad żelaznym łóżkiem i zabrałem się do czytania. Staralem się czymś zająć, bo nie chciałem rozmyślać nad wynaturzonymi osobliwościami tego starego, tajemniczego miasta, będąc w jego obrębie. Szalona opowieść pijanego Zadoka nie obiecywała przyjemnych snów, za wszelką cenę chciałem oddalić od siebie wspomnienie jego dzikich, łzawych oczu.

Nie powinienem też zbytnio zastanawiać się nad tym, co inspektor z fabryki opowiadał kasjerowi w Newburyport o Gilman House i słyszanych tu nocą odgłosach ani o tej twarzy przystrojonej tiarą we wrotach krypty mrocznego kościoła; twarzy, której okropieństwa nie byłem w stanie zrozumieć. Pewnie łatwiej byłoby mi oderwać się od tych niepokojących myśli, gdyby w moim pokoju nie cuchnęło tak strasznie stęchlizną, która na dodatek mieszała się jeszcze z wszechobecnym rybim smrodem, a wszystko to razem nie pozwalało, niestety, zapomnieć o śmierci i rozkładzie.

Poza tym zaniepokoił mnie brak zasuwy przy drzwiach. Były po niej ślady, najwyraźniej niedawno została zdjęta. Pewnie się popsowała, jak zresztą większość rzeczy w tym rozlatującym się budynku. Rozejrzałem się nerwowo i odkryłem zasuwę przy szafie, która wydawała mi się tej samej wielkości, co zasuwa odjęta od drzwi. Żeby się choć trochę wyzwolić z niepokoju, jaki mną zawładnął, postanowiłem przykręcić tę zasuwę do drzwi za pomocą podręcznego przyrządu spełniającego trzy funkcje, między innymi śrubokrętu, który zawsze nosiłem przy sobie wraz z kluczem na kółku. Zasuwa doskonale pasowała do drzwi, doznałem więc prawdziwej ulgi, że mogę się położyć w zamkniętym pokoju. Nawet nie

dlatego, że się czegoś obawiałem, ale po prostu w takim otoczeniu każde zabezpieczenie byłoby mile widziane. Podobne zasuwy znajdowały się też na dwojgu bocznych drzwiach prowadzących do sąsiednich pokoi i te również natychmiast zaryglowałem.

Nie rozebrałem się, postanowiłem bowiem czytać, dopóki nie ogarnie mnie senność, i wtedy dopiero się położyć, zdjawszy tylko marynarkę, kołnierzyk i buty. Wyjąłem z walizki latarkę i włożyłem do kieszeni spodni, żebym mógł spojrzeć na zegarek, jeżeli się w nocy przebudzę. A jednak wcale nie byłem senny; pochłonięty różnymi myślami stwierdziłem z niepokojem, że bezwiednie czegoś nasłuchuję... czegoś, co napełnia mnie lękiem, a czego nie potrafiłbym określić. Opowieść inspektora chyba jednak bardziej podziałała na moją wyobraźnię, niżbym się spodziewał. Znowu usiłowałem czytać, ale bezskutecznie.

Po pewnym czasie wydało mi się, że słyszę skrzypienie schodów i kroki na korytarzach i zacząłem się zastanawiać, czy oznacza to, że zajmowane są też następne pokoje. Nie dochodziły mnie jednak żadne inne głosy, natomiast uderzyło mnie, że skrzypienie jest jakoś bardzo ukradkowe. Nie spodobało mi się to, więc postanowiłem wcale się nie kłaść do łóżka. Dziwni ludzie mieszkali w tym mieście, no i podobno coraz to ktoś stąd znikał. Czyżby to była jedna z tych oberży, w których zabija się podróżnych dla zdobycia ich pieniędzy? Na pewno nie robiłem wrażenia człowieka majątnego. A może mieszkańcy tego miasta są aż tak wrogo nastawieni do ciekawskich turystów? Czyżby moje jawne zwiedzanie i częste spoglądanie na mapę wzbudziło ich niechęć? Uświadomiłem sobie, że muszę być w strasznym napięciu nerwowym, skoro ledwo słyszalne skrzypienie schodów pobudziło mnie aż do takich rozważań, ale mimo to żałowałem, że nie mam przy sobie jakiejś broni.

Czuając zmęczenie, które nie miało nic wspólnego z sennością, zamknąłem drzwi od korytarza, wyłączyłem światło i rzuciłem się na twarde, niewygodne łóżko... w marynarce, kołnierzyku, butach, we wszystkim, co miałem na sobie. W ciemności nawet najśłabszy odgłos nocy potęgował się wielokrotnie i ogarnął mnie jeszcze większy niepokój. Żałowałem, że zgasiałem światło, a jednocześnie byłem zbyt zmęczony, żeby podnieść się z łóżka i zapalić. Po dłuższej, przygnębiającej przerwie dobiegło mnie skrzypienie schodów, a następnie ciche, wyraźne odgłosy, zdające się być potwierdzeniem wszystkich moich obaw. Nie miałem już wątpliwości, że ktoś dobierał się do moich drzwi kluczem – ostrożnie, ukradkiem, dla próby.

Przerażenie moje z powodu tak namacalnej grozy było zapewne trochę złagodzone lękiem, jakiemu już wcześniej uległem. Przez cały czas, właściwie bez określonej przyczyny, zachowywałem czujność, co okazało się korzystne w tej nowej i naprawdę krytycznej sytuacji, bez względu na to, jak się sprawy dalej potoczą. A jednak przejście od przecucia grozy do jej urzeczywistnienia było niemałym szokiem i spadło na mnie jak grom z nieba. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, aby to gmeranie przy moich drzwiach mogło być tylko omyłką. Byłem głęboko przekonany o złych zamiarach intruza i z kamiennym spokojem czekałem na jego następne posunięcie.

Wkrótce ustało to ukradkowe docieranie się do moich drzwi, usłyszałem zaś, że ktoś otwiera wytrychem przyległy pokój od strony północnej. Następnie ten ktoś zaczął próbować zamek u drzwi łączących się z moim pokojem. Zasuwa jednak dobrze trzymała i po chwili usłyszałem skrzypienie podłogi, kiedy maruder opuszczał pokój. Znowu dobiegło mnie zgrzytanie zamka, nie budzące wątpliwości, że tym razem odbywa się w pokoju od południa. Znowu próba otwarcia drzwi łączących się z moim

pokojem i skrzypienie podczas wychodzenia. Teraz rozległo się trzeszczenie podłogi w hallu i na schodach prowadzących w dół, zrozumiałem więc, że maruder zniechęcił się pozamykanymi drzwiami i odłożył dalsze poczynania na lepsze lub gorsze czasy, zależnie od tego, co pokaże przyszłość.

Gotowość do podjęcia działania dowodzi tylko, że podświadomie czegoś się lękałem i od paru godzin już rozważałem możliwość ucieczki. Od pierwszego momentu czułem, że to niewidoczne dla mnie gmeranie przy drzwiach stanowi niebezpieczeństwo, któremu nie powinienem stawiać czoła, ale uciekać jak najszybciej. Pozostawało mi tylko jedno – wydostać się z tego hotelu natychmiast, i to nie frontowymi schodami i nie przez hall.

Wstałem cicho z łóżka i zapaliwszy latarkę chciałem włączyć lampę nad łóżkiem, żeby powrzucać wszystkie swoje rzeczy do walizki. Okazało się jednak, że prąd został wyłączony. Jakieś tajemnicze, złowieszcze odgłosy przybrały teraz na sile, ale nie mogłem się zorientować, co to może być. Kiedy tak stałem zastanawiając się i wciąż jeszcze trzymając rękę na nieczynnym kontakcie, usłyszałem jakieś skrzypnięcie podłogi o piętro niżej i wydało mi się, że wyraźnie dochodzi mnie echo rozmowy. Po chwili jednak nie byłem już pewien, czy jest to rzeczywiście rozmowa, bo jakieś chropawe poszczekiwanie i rehotliwe pojedyncze sylaby zupełnie nie przypominały ludzkiej mowy. Wtedy przypomniałem sobie to wszystko, co inspektor słyszał owej nocy w tym zatęchłym i zapowietrzonym budynku.

Wsunąwszy do kieszeni latarkę, nałożyłem kapelusz i na palcach podszedłem do okien, aby rozważyć możliwość ucieczki. Mimo wyraźnych zaleceń urzędowych odnośnie bezpieczeństwa, po tej stronie hotelu nie było żadnego zejścia na wypadek pożaru, nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko wyskoczyć z drugiego piętra wprost na wybrukowane podwórko. Z prawej i lewej strony przylegały do hotelu jakieś stare budynki z cegły,

których pochyle dachy zapewniały dogodną możliwość ucieczki. Aby ich dosięgnąć, musiałbym się znaleźć o dwa pokoje dalej, w jedną albo w drugą stronę, więc zacząłem intensywniej rozważać swoje możliwości.

Nie mogłem wyjść na korytarz, bo natychmiast posłyszano by moje kroki, nim bym zdołał otworzyć drzwi do podanego pokoju. Mogłem więc jedynie sforsować niezbyt solidne drzwi łączące się z moim pokojem i wyważyć je ramieniem jak taranem, gdyby zamki i zasuwy stawiały opór. Wydało mi się to możliwe do wykonania, jako że wszystko w tym budynku się rozpadało; ale zdawałem sobie sprawę, że nie zdołam tego zrobić bezszelestnie. Mogłem jedynie liczyć na to, że szybko się z tym uporam i że zdołam dobiec do okna, nim wrogie siły otworzą właściwe drzwi wytrychem. Drzwi na korytarz w moim pokoju zabarykadowałem biurkiem, starając się to robić jak najciszej.

Zdawałem sobie sprawę, że moje szanse są niewielkie, i byłem właściwie przygotowany na klęskę. Nawet jeśli się przedostanę na dach, nie rozwiąże to jeszcze problemu, bo muszę przecież znaleźć się na ziemi i uciec z miasta. Stan opuszczenia i rujnacji przyległych budynków działał oczywiście na moją korzyść, a także spora ilość świetlików na dachach ziejących ciemnością.

Wedle mojej mapy najdogodniejsza droga, którą mógłbym się wydostać z miasta, znajdowała się od południowej strony, wobec tego zerknąłem na drzwi pokoju od południa, ale, niestety, otwierały się w moją stronę, w związku z czym niełatwo byłoby je sforsować, jako że zasuwa była zamknięta i jeszcze dodatkowy zamek. Zrezygnowałem więc z tego kierunku i ostrożnie przysunąłem do drzwi łóżko, żeby zablokować ewentualny atak z tej strony. Drzwi do pokoju od północy otwierały się na zewnątrz i choć były zaryglowane od drugiej strony, wiedziałem, że tędy musi prowadzić moja droga. Jeśli zdołałbym dotrzeć na dachy na Paine

Street i stamtąd spuścić się na ziemię, uciekłbym przez podwórko i przyległe albo znajdujące się po drugiej stronie budynku na Washington albo Bates Street, albo też wydostałbym się na Polne Street i stamtąd chyłkiem na Washington Street. W każdym razie starałbym się jak najszybciej wydostać z rejonu Town Square. Wolałbym uniknąć Paine Street ze względu na znajdującą się tam remizę strażacką, która może być czynna przez całą noc.

Tak rozmyślając spojrzałem na plugawe morze rozpadających się dachów oświetlonych teraz księżycem już wklęsłym po pełni. Na prawo przecinała panoramę czarna linia wywozu, w którym płynęła rzeka, przylegały doń niczym skorupiaki nieczynne fabryki i stacja kolejowa. Dalej zardzewiałe szyny kolejowe i droga do Rowley wiodły przez płaskie, bagniste tereny poznaczone wysepkami bardziej suchej ziemi, porosłej karłowatymi zagajnikami. Po lewej stronie, bliżej mnie, krajobraz był poznaczony strumieniami, a droga do Ipswich lśniła biało w blasku księżyca. Z tej strony hotelu nie mogłem jednak dojrzeć drogi prowadzącej na południe, do Arkham, na którą się zdecydowałem.

Rozważałem, niepewny, kiedy byłoby najlepiej zaatakować drzwi prowadzące w północnym kierunku i w jaki sposób mógłbym to zrobić jak najciszej, kiedy ustały te dziwne odgłosy na niższym piętrze, a rozległo się ciężkie stąpanie po schodach. Przez małe okienko nad drzwiami zamigotało światło, o po chwili dobiegło skrzypienie podłogi na korytarzu. Doszły mnie jakieś dźwięki, może to nawet były głosy, po czym rozległo się mocne pukanie do moich drzwi.

Przez chwilę wstrzymałem oddech i czekałem. Zdawała się upływać wieczność, a mdlący zapach ryb tak się spotęgował, że prawie stał się namacalny. Pukanie powtórzyło się, tym razem dłużej i jeszcze silniejsze. Był już najwyższy czas, aby przystąpić do działania, najpierw odsunąłem

zasuwę drzwi do sąsiedniego pokoju i przygotowałem się do ataku. Teraz już rozlegało się potężne walenie do moich drzwi, miałem więc nadzieję, że hałas, jaki ja zrobię, zostanie przez nich samych zagłuszony. Zacząłem napierać lewym ramieniem z całych sił, nie czując ani bólu, ani strachu. Drzwi stawiały opór większy, niż przewidywałem, ale nie poddałem się. A tymczasem barabanienie do moich wejściowych drzwi nie ustawało.

Nareszcie pokonałem przeszkodę, ale z takim hukiem, że w korytarzu na pewno musieli usłyszeć. Teraz już i oni zaczęli wyważać drzwi, a jednocześnie brzęczały złowieszczo klucze także i przy drzwiach od korytarza przyległych pokoi. Popędziłem natychmiast i zamknąłem zasuwę od wewnątrz, nim jeszcze zdolali otworzyć zamek. Jednakże usłyszałem już manewrowanie wytrychem w następnym pokoju, z którego miałem wyskoczyć przez okno na dach.

Ogarnęła mnie rozpacz, bo znalazłem się w pułapce. Mój strach sięgał już prawie zenitu, nadając jakieś niepojęte znaczenie śladom kurzu widocznym w świetle przeblyskującym przez drzwi, do których ktoś się właśnie dobierał. Prawie że w bezwiednym odruchu, mimo poczucia beznadziejności, ruszyłem do następnych drzwi, by je siłą otworzyć – zakładając, że zewnętrzne drzwi tego trzeciego pokoju podobnie jak i w poprzednim są zamknięte – a następnie zamknąć zasuwę od wewnątrz, nim jeszcze ktoś zdoła przekręcić zamek.

Szczyście mi dopisało, bo nie tylko że nie były zamknięte, ale nawet trochę uchylone. W mgnieniu oka znalazłem się przy drzwiach wejściowych tego pokoju blokując je ramieniem i kolanem, bo ktoś na nie właśnie napierał. Drzwi się zatrzasnęły, a ja w mig przekręciłem zasuwę, która była w całkiem dobrym stanie. Odetchnąłem z ulgą, a wtedy stwierdziłem, że przestano dobijać się do dwojga sąsiednich drzwi, natomiast rozlega się łoskot przy wewnętrznych drzwiach

zabarykadowanych łóżkiem. A więc gromada moich napastników wtargnęła do pokoju od południa i rozpoczęła atak od wewnątrz. Po chwili wytrych zazgrzytał w następnych drzwiach od strony północnej, co uprzytomniło mi, że niebezpieczeństwo jest już bardzo blisko.

Wewnętrzne drzwi do następnego pokoju były otwarte na oścież, nie miałem jednak czasu na zabezpieczenie drzwi na korytarz. Mogłem jedynie zamknąć wewnętrzne drzwi na zasuwę, a także wewnętrzne drzwi z drugiej strony, jedne zabarykadować łóżkiem, drugie biurkiem, a umywalką zablokować drzwi wejściowe. Musiałem zawierzyć takim prowizorycznym barykadom i wydostać się przez okno na dach domu przy Paine Street. W tym dramatycznym momencie strach, jaki mnie ogarnął, nie wypływał z tego, że nagle straciłem siły, by się bronić, ale z tego, że nikt spośród moich napastników nie wydał z siebie jak dotąd ludzkiego głosu, dochodziło mnie tylko koszmarne dyszenie, kwiczenie i ciche poszczekiwanie w dziwnych odstępach czasu.

Przesunąłem meble i pomknąłem w stronę okna, a wtedy usłyszałem bezładną i szaleńczą gonitwę po korytarzu w stronę pokoju na północ ode mnie, co świadczyło o tym, że zrezygnowano z napaści od południa. Moi oponenti najwyraźniej skoncentrowali siły przy słabych wewnętrznych drzwiach otwierających się wprost na mnie. A na zewnątrz księżyc igrał na kalenicy domu znajdującego się poniżej okna. Stwierdziłem, że skok będzie wielce ryzykowny, bo dach jest bardzo spadzisty.

Wybrałem okno bliższe południowej strony, planując wyskoczyć na dach, a stamtąd w jakieś najdogodniejsze miejsce. Znalazłszy się już w którymś z tych rozwalających się budynków z cegły muszę wziąć pod uwagę pościg. Miałem jednak nadzieję, że zanurzę się w jednym z licznych wokół podwórka i ziejących pustką drzwi i wymknę się na Washington Street, o potem już ucieknę z miasta kierując się na południe.

Nagle rozległ się straszny łoskot u drzwi, które zaczęły puszczać w zawiasach. Moi prześladowcy posłużyli się widać jakimś ciężkim przedmiotem do wyważania. Barykada z łóżka jednak nawet nie drgnęła, miałem więc jeszcze jedna szansę, że zdążę wyskoczyć. Z boku okna wisiały no grubym pręcie i mosiężnych kółkach ciężkie aksamitne zasłony, był też wystający uchwyt do zewnętrznych okiennic. Otworzyła się przede mną możliwość bezpiecznego skoku. Szybko ściągnąłem pręt ze wszystkim, zaczepiłem dwa kółka z zasłonami na wystającym uchwycie i sprawdziwszy, że wytrzymają mój ciężar, wyskoczyłem z okna i spuściłem się po zaimprovizowanej miękkiej drabinie pozostawiając za sobą na zawsze te zwyrodniałe, widmowe kontury Gilman House.

Wylądowałem bezpiecznie na obluzowanych łupkach spadzistego dachu i bez poślizgnięcia dotarłem do czarnego otworu świetlika. Spojrzałem na okno, które pozostawiłem za sobą, ale było w nim jeszcze ciemno, tylko daleko na północy dostrzegłem pośród rozpadających się kominów złowieszczy odblask światła z budynku Porządku Dagona, kościoła baptystów i kongregacjonalistów, na wspomnienie którego dreszcz mnie przeszywał. Na podwórku było całkiem ciemno, nadarzała się więc szansa ucieczki, zanim powstanie alarm na dużą skalę. Poświeciłem latarką w głąb świetlika, ale nie było tam żadnych schodków. Nie wydawał się jednak zbyt głęboki, wskoczyłem więc do środka na zapyloną podłogę pełną porozrzucanych pudełek i beczek.

Było to miejsce upiorne, ale nie poddawałem się już takim nastrojom, tylko ruszyłem z miejsca w stronę schodów, które odkryłem z pomocą latarki, zerknąwszy jednocześnie na zegarek – wskazywał godzinę druga po północy. Schody zatrzeszczały, ale wydały mi się stosunkowo mocne. Pomknąłem na dół, minąłem pierwsze piętro, które przypominało raczej stodołę. Panowała tu kompletna pustka, rozlegało się tylko echo moich

kroków. W jednym końcu korytarza na dole dostrzegłem trochę jaśniejszy prostokąt, przez który prowadziło wyjście na Paine Street. Skierowałem się w drugą stronę i znalazłem tam również otwarte drzwi; po pięciu kamiennych schodkach wybiegłem na wybrukowane podwórko poprzerastane trawą.

Księżyc tutaj nie sięgał, ale wyraźnie widziałem przed sobą drogę i nie musiałem posługiwać się latarką. W niektórych oknach Gilman House paliło się słabe światło, wydawało mi się, że słyszę wewnątrz jakieś bezładne głosy. Posuwając się ostrożnie w stronę Washington Street dostrzegłem po drodze kilka otwartych drzwi. Wybrałem najbliższe w nadziei, że zdołam przejść na drugą stronę. Korytarz spowity był ciemnością, dotarłem jednak do drugiego końca, ale okazało się, że drzwi wychodzące na ulicę są mocno zaryglowane. Postanowiłem więc spróbować w następnym budynku, ale na chwilę przystanąłem.

Z otwartych drzwi Gilman House wynurzył się tłum jakichś postaci – z chybczącymi latarkami i pokrzykujący chrapliwie, ale na pewno nie w języku angielskim. Poruszali się niepewnie, najwyraźniej nie wiedzieli, gdzie mnie szukać; mimo to skamieniałem z przerażenia. Nie widziałem ich wyraźnie, ale ich człapanie i szuranie było nad wyraz odrażające. Zdołałem jednak zauważyć, że jedna z tych postaci miała na sobie dziwaczne szaty, a na głowie, bez żadnych wątpliwości, wysoką, dobrze mi znaną tiarę. Rozproszyli się po całym dziedzińcu, a mnie ogarnął jeszcze większy strach. A jeżeli nie zdołam się wydostać z tego budynku na ulicę? Odór rybi spotęgował się, obawiałem się, że zemdleję. Znowu zacząłem wymacywać jakieś wyjście na ulicę i napotkałem drzwi, które otworzyły się do pustego pokoju z zamkniętymi okiennicami. Poświeciwszy latarką stwierdziłem, że zdołam je otworzyć, i po chwili wyskoczyłem na zewnątrz, zamknąwszy okiennice, by zatrzeć za sobą ślady.

Znajdowałem się teraz na Washington Street; nie dostrzegłem żywej duszy ani żadnego światła. zaglądał tu jedynie księżyc. Z kilku stron, ale z pewnej odległości, dochodziły mnie jednak chropawe głosy, kroki i jakiś tupot, który w niczym nie przypominał kroków. Nie miałem czasu do stracenia. Wskazówki kompasu prowadziły w kierunku, który obrałem, toteż zadowolony byłem, że wyłączono na ulicach światło, jak to się często podczas księżycowych nocy w biedniejszych okręgach wiejskich zdarza. Dochodziły też jakieś odgłosy od południa, ale mimo to nie zrezygnowałem z ucieczki w tym kierunku. Po drodze będzie na pewno niemało wejść do pustych domów, w których znajdę schronienie, jeśli tylko dojrzę ścigających mnie prześladowców.

Posuwałem się szybko, bezszelestnie, wzdłuż zrujnowanych domów. Bez kapelusza, rozchochraną po uciążliwej ucieczce, nie mogłem przyciągać niczyjej uwagi. Nawet gdybym przypadkowo napotkał jakiegoś przechodnia, pewnie by mnie nie zauważył. Na Bates Street skryłem się w przepaścistym westybulu, gdyż pojawiły się przede mną dwie powłóczące nogami postacie, ale wkrótce szedłem już dalej zbliżając się do otwartej przestrzeni, gdzie Eliot Street przecinała ukośnie Washington Street na skrzyżowaniu. Choć przedtem nie widziałem tego miejsca, na mojej mapie wyglądało ono groźnie, księżyc z pewnością będzie miał tam swobodny dostęp. Nie było jednak sensu zbaczać z drogi, bo musiałbym okrążyć narażając się, być może, na jeszcze większą widoczność, a poza tym to by tylko opóźniło moją ucieczkę. Postanowiłem więc śmiało i otwarcie przekroczyć plac naśladując powłóczysty krok mieszkańców Innsmouth, w nadziei, że nikt, a przynajmniej nikogo spośród moich prześladowców, nie spotkam po drodze.

Nie orientowałem się, jak szeroki zakres ma pościg ani też jaki mu przyświeca cel. Miasto zdawało się być niezwykle ożywione, ale byłem przekonany, że wieść o mojej ucieczce z Gilman House jeszcze się daleko nie rozniosła. Wkrótce muszę się przedostać z Washington Street na jakąś inną ulicę prowadzącą na południe, gdyż tajemnicza gromada z hotelu bez wątpienia posuwa się za mną. Zostawiłem na pewno ślady na zakurzonej podłodze w ostatnim budynku, odkryją więc, w jaki sposób wydostałem się na tę ulicę.

Tak jak się spodziewałem, cały plac zalany był księżycem; pośrodku dostrzegłem coś w rodzaju skwerku ogrodzonego żelazną balustradą. Na szczęście nikogo w pobliżu nie było, ale od strony Town Square dochodziło jakieś dziwne buczenie czy też warkot. South Street była szeroka i lekko opadała ku morzu, które było stąd widoczne w całej swej rozciągłości. Miałem nadzieję, że nikt mnie nie obserwował, kiedy przechodziłem w pełnym blasku księżyca. Posuwałem się bez przeszkód, nie słychać było, aby ktoś mnie szpiegował. Rozejrzawszy się, bezwiednie zwolniłem kroku na chwilę i zerknąłem w stronę morza, które, rozświetlone księżycem, wyglądało wspaniale. W dali, za falochronem, rysowała się niezbyt wyraźnie ciemna linia Diabelskiej Rafy, która mimo woli przypominała mi straszne opowieści, jakie tu usłyszałem – opowieści, w których ta postrzępiona skała stanowiła prawdziwe wrota do królestwa niepojętej grozy i nienormalnych zjawisk.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, dostrzegłem na rafie migotanie światła. Nie myliłem się, nie było to złudzenie. Ogarnął mnie lęk, niepoohamowany i straszny. Wszystkie mięśnie naprężyły się do ucieczki, powstrzymała mnie tylko podświadoma ostrożność i prawie że hipnotyczne zafascynowanie. Co gorsza, rozbłysło też światło z wyniosłej kopuły Gilman House, skierowane na północny wschód, cała seria analogicznych

błysków, o innej częstotliwości, które mogły być tylko sygnałami porozumiewawczymi.

Znowu zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem tutaj na widoku, ruszyłem więc szybszym krokiem pozorując powłóczenie nogami, ale nie spuszczać oka z tej diabelskiej, złowieszczej rafy, dopóki mogłem ją widzieć. Nie miałem pojęcia, co to wszystko oznacza, chyba że miało związek z dziwnymi obrzędami odbywającymi się na rafie albo też z jakimś statkiem, który tam przycumował i z którego wyszła grupa ludzi. Skrzyłem w lewo obok zapuszczonego trawnika, wciąż jednak zerkałem w stronę oceanu lśniącego w letniej poświacie księżyca i obserwowałem tajemnicze błyski niezrozumiałych dla mnie światła ostrzegawczych.

Wtedy to właśnie zawładnęło mną chyba największe przerażenie, przestałem nad sobą panować i popędziłem jak oszalały na południe obok ziejących czernią drzwi i okien spoglądających jak rybnie oczy na tej pustynnej, koszarnej ulicy. Kiedy spojrzałem uważniej, okazało się, że morze pomiędzy rafą i brzegiem bynajmniej nie jest puste. Wypełniał je gęsty rój jakichś postaci płynących w stronę miasta; mimo dużej odległości i bądź co bądź zaledwie przelotnego spojrzenia, zauważyłem, że podskakujące głowy i uderzające w wodę ramiona są mi dziwnie obce, o wynaturzonych kształtach, których nie potrafiłbym określić ani z całą świadomością do niczego zakwalifikować.

Zwolniłem szaleńczy pęd, nim jeszcze znalazłem się przed jakimś budynkiem, ponieważ od lewej strony usłyszałem larum zorganizowanego pościgu. Na Federal Street rozległy się kroki i jakieś gardłowe głosy, dochodził też warkot motoru. W jednej chwili mój plan uległ całkowitej zmianie, bo jeżeli droga na południe została zablokowana, to muszę znaleźć jakiś inny sposób ucieczki z Innsmouth. Wsunąłem się w jakieś otwarte

drzwi, zadowolony, że minąłem oświetloną księżycem otwartą przestrzeń, zanim moi prześladowcy nadciągnęli równoległą ulicą.

Kolejne spostrzeżenie było mniej pocieszające. Pościg odbywał się następną ulicą; co prawda nie podążali za mną bezpośrednio i jak dotąd mnie nie dostrzegli, ale zastosowali konsekwentny plan odcięcia mi drogi. Mogło to oznaczać, że na wszystkich drogach wyjściowych z miasta rozstawili patrole, nie wiedzieli bowiem, którą wybiorę. Wobec tego muszę uciekać z dala od wszystkich dróg, ale jak to zrobić, skoro cały okoliczny teren to bagna poprzecinane licznymi rzekami? Zmąciło mi się w głowie, zarówno od poczucia beznadziejności, jak i nagłego, spotęgowanego przyływu rybiego smrodu.

Przypomniałem sobie o nieczynnej linii kolejowej do Rowley, która miała mocne podkłady i zarośnięta była trawą, a prowadziła na północny zachód od zdewastowanej stacji nad brzegiem wąwozu, w którym płynęła rzeka. Istniała możliwość, że nie uwzględnię jej w swoim planie pościgu, gdyż opustoszały, pozarastany dziką różą teren wydawał się nie do przebycia i było najmniej prawdopodobne, aby go wybrał uciekinier. Wyraźnie widziałem ten teren z okna hotelu i orientowałem się, gdzie się znajduje. Znaczna część linii kolejowej była niestety widoczna z drogi prowadzącej do Rowley, a także z wyżej położonych miejsc w samym mieście, ale mogę przecież skryć się wśród zarośli i czołgając się wydostać z tego miasta. W każdym bądź razie była to dla mnie jedyna szansa ucieczki i nie pozostawało mi nic innego, jak przystąpić do działania natychmiast.

W głębi korytarza, w którym znalazłem schronienie, raz jeszcze przyjrzałem się mapie przy świetle latarki. Najpierw należało się przedostać do stacji kolejowej, co było nie lada problemem; uznałem, że najbezpieczniej będzie pójść na Babson Street, potem na zachód do Lafayette, dalej już drogą okrężną, a nie przecinać placu, tak jak to

zrobiłem przed chwilą. Potem z kolei trzeba się skierować na północ i zachód krętą drogą przez ulice Lafayette, Bates, Adams i Bank – przy czym ta ostatnia ciągnęła się wzdłuż brzegu rzeki – i tak może zdołam dotrzeć do nieczynnej, prawie już w całkowitej ruinie stacji, którą widziałem z okna. Wybrałem prostą drogę do Babson Street, ponieważ nie miałem ochoty przemierzać otwartej przestrzeni ani też kierować się na zachód ulicą tak szeroką jak South Street.

Rozejrzawszy się jeszcze raz uważnie, przeszedłem na prawą stronę, aby dostać się do Babson Street przez nikogo nie zauważony. Na Federal Street wciąż było gwarno, a kiedy się obejrzałem, wydało mi się, że błysnęło światło tuż koło budynku, przez który się przedostałem. Chcąc jak najszybciej wydostać się z Washington Street ruszyłem biegiem w nadziei, że nikt mnie tu nie dostrzeże. Na następnym rogu Babson Street ku memu przerażeniu zobaczyłem, że jeden z domów jest zamieszkały, o czym świadczyły zasłony w oknach, ale w żadnym nie paliło się światło, udało mi się więc przejść obok spokojnie.

Na Babson Street, krzyżującej się z Federal Street, prześladowcy mogli mnie łatwo zauważyć, posuwałem się więc tuż przy samym murze pochylonych i nierówno stojących budynków, dwukrotnie zatrzymując się w pustych drzwiach, gdy wydało mi się, że hałas się wzmacnia. Przede mną znowu otwierała się wolna przestrzeń oświetlona księżycem, ale nie musiałem jej przemierzać. Kiedy zatrzymałem się po raz drugi, zauważyłem, że odgłosy tym razem dochodzą z innego kierunku, i ujrzałem mknący przez otwartą przestrzeń motocykl wprost ku Eliot Street, krzyżującej się z Babson i Lafayette.

Kiedy tak patrzyłem dławiąc się nagłym i silnym powiewem rybiego smrodu, zobaczyłem gromadę dzikich, skulonych postaci zmierzających wielkimi susami i powłóczącym krokiem w tym samym kierunku; była to

więc grupa mająca pełnić straż przy drodze do Ipswich, będącej przedłużeniem Eliot Street. Dwie postacie miały na sobie luźne szaty, a na głowach diademy lśniące w poświacie księżyca. Chód tych postaci był tak dziwny, że aż zimny dreszcz mnie przeszedł, miałem nawet wrażenie, że nie idą, a podskakują.

Ruszyłem dalej dopiero wtedy, gdy cała ta gromada zniknęła mi z pola widzenia. Skrzyłem w Lafayette i minąłem szybko Eliot Street bacząc, czy jacyś spóźnieni prześladowcy nie zmierzają w tym kierunku. Od strony Town Square dochodziły rechoczące i gwarne głosy, ale na nikogo się nie natknąłem. Najbardziej się obawiałem przejścia przez szeroką i oświetloną księżycem South Street z widokiem na morze, musiałem jednak poddać się ciężkiej próbie. Tutaj mogli mnie łatwo wyśledzić, nawet ci, którzy pilnowali Eliot Street, też mogli mnie tu wypatrzeć. Postanowiłem zwolnić tempo i przejść powłócząc nogami jak tubylcy.

Kiedy znowu roztoczył się przede mną widok na morze – tym razem z prawej strony – postanowiłem nie patrzeć w tym kierunku, ale nie mogłem się powstrzymać i zerknąłem w bok, nie zapominając o powłóczeniu nogami. Niestety, nie zobaczyłem statku, a łudziłem się, że przyplynał. Zauważyłem natomiast małą łódź wiosłową płynącą do opuszczonej przystani, a wypełnioną czymś, przykrytym brezentem. Wioślarze, choć z daleka niezbyt dokładnie widoczni, wyglądali jednak odrażająco. Dostrzegłem też paru pływaków; na dalekiej, czarnej rafie świeciło teraz słabe, ale jednostajne światelko, już nie migające ostrzegawczo, o dość dziwnym kolorze, którego nie potrafiłbym określić. Ponad spadzistymi dachami, na prawo ode mnie jarzyła się wysoka kopuła Gilman House, poza tym jednak panowała kompletna ciemność. Zapach ryb, złagodzony na moment łaskawą bryzą, znowu uderzył mnie w nozdrza z całą siłą.

Nim zdążyłem przejść ulicę, usłyszałem gwar na Washington Street od strony północnej. Dotarli właśnie do otwartej przestrzeni, skąd ujrzałem niepokojący obraz morza rozjarzonego księżycem. Znajdowali się już całkiem blisko, a widok ich zwierzęco wynaturzonych twarzy i pochylonych postaci posuwających się jakimś niehumanicznym krokiem, a przypominających gromadę psów, zupełnie mnie przeraził. Jeden z nich poruszał się zupełnie jak małpa, dotykając długimi rękoma ziemi; jakiś inny w luźnych szatach i z tiarą na głowie – zdawał się posuwać skokami. To właśnie tę gromadę widziałem wtedy na podwórzu Gilman House, byli najbliżsi mego tropu. Poniektórzy patrzyli w moją stronę, co mnie napełniło strasznym lękiem, jeszcze bardziej więc zacząłem udawać to ich powłóczenie nogami. Do dziś nie wiem, czy rzeczywiście mnie wtedy dostrzegli. Jeżeli tak było, to moja strategia ich zmyliła, bo nie zmienili swojego kursu, tylko posuwali się dalej, rehotliwie bełkocąc, a tak obrzydliwie, że nie mogłem się w tym rozeznać.

Znalazłszy się znów w mroku, zacząłem biec truchtem obok pochylonych domów spoglądających pustymi oknami w ciemną noc. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, skręciłem na najbliższym rogu w Bates Street, kryjąc się w cieniu budynków od południowej strony. Minąłem dwa domy, w których znać było ślady życia, w jednym paliło się nawet światło w górnych oknach, ale nie natknąłem się na żadną przeszkodę. Kiedy skręciłem na Adams Street, poczułem się trochę bezpieczniej, ale wkrótce zamarłem, bo tuż przede mną wytoczył się z drzwi jakiś człowiek. Zbyt był jednak pijany, aby mógł stanowić dla mnie zagrożenie, i tak dotarłem bezpiecznie do magazynów składowych na Bank Street, będących w zupełnej ruinie.

Na tej wymarłej ulicy ciągnącej się wzdłuż rzeki wszystko wydawało się zastygłe, a szum wodospadów zagłuszał moje kroki. Do stacji musiałem

przebiec jeszcze kawałek drogi, zaś mury wielkich magazynów wyglądały straszniej niż mieszkalne domy. Nareszcie ujrzałem przed sobą starą stację z arkadami – a właściwie jej nędzne resztki – i ruszyłem prosto w kierunku szyn zaczynających się no drugim jej końcu.

Były zardzewiałe, choć jeszcze w niezłym stanie, podkłady przegniły, ale nie wszystkie. Po takiej drodze ogromnie trudno było poruszać się swobodnie, a tym bardziej biec, ale jakoś sobie radziłem. Przez pewien czas szyny prowadziły przez długi, kryty most nad zawrotnej głębokości przepaścią. Moje dalsze kroki uzależnione były od stanu mostu. Jeżeli okaże się to możliwe, przejdę po nim, a jeśli będzie w bardzo złym stanie, muszę podjąć ryzyko dalszej wędrówki ulicą i przedostać się przez najbliższy, nieuszkodzony most przy autostradzie.

Ten ogromny stary most, długi jak stodoła, jaśniał widmowo w blasku księżycyca i stwierdziłem, że parę kroków dalej podkłady są całkiem solidne. Wszedłem przyświecając sobie latarką i omal nie zwała mnie z nóg chmara nietoperzy, która zerwała się z głośnym trzepotem. W połowie drogi znajdowała się groźna wyrwa między podkładami, na widok której zawahałem się, czy zdołam ją pokonać, jednakże zaryzykowałem, wykonałem desperacki skok, który na szczęście się udał.

Z radością powitałem księżyc, kiedy wreszcie wydostałem się z tego makabrycznego tunelu. Stare szyny przecinały River Street na przejeździe kolejowym i natychmiast skręcały w pole, na którym już coraz słabiej czuło się ten nieznośny zapach ryb. Gęste poszycie chwastów i dzikiej róży kryło mnie całkowicie, ale ubranie miałem w strzępach. Rad jednak byłem, że się tutaj znalazłem, bo w razie pogoni, miałem tu dobre schronienie. Byłem świadomy, że większa część trasy, którą przemierzałem, musiała być widoczna z drogi prowadzącej do Rowley.

Wkrótce pojawiły się bagna, a przez nie wiodła jedna tylko ścieżka na niskim, trawiastym nasypie, ale zarośla nie były tu już tak gęste. Natknąłem się teraz na coś w rodzaju wyspy trochę wyżej położonej, którą szyny przecinały w płytkim, otwartym wykopie, zarośniętym krzakami i jeżynami. Bardzo się ucieszyłem, że przynajmniej tutaj mogę się skryć, bo wedle tego, co widziałem z okna hotelu, w tym miejscu szosa do Rowley biegła bardzo blisko. Na końcu wykopu szyny przecinały ścieżkę i zbaczały na bezpieczną odległość. Tymczasem jednak musiałem zachować daleko idącą ostrożność. Byłem pewien, że jak do tej pory szyny kolejowe nie zostały objęte patrolem.

Nim zanurzyłem się w wykop kolejowy, obejrzałem się za siebie, ale nie dostrzegłem moich prześladowców. Stare wieżycy i dachy Innsmouth wspaniale i nieziemsko lśniły w magicznym żółtym świetle księżyca i mimo woli pomyślałem, jak pięknie musiały wyglądać w dawnych dniach, nim miasto zostało okryte mrokiem tajemnicy. Ale kiedy spojrzałem w głąb ładu, uwagę moją przykuło coś, co mnie zaniepokoiło, i przez chwilę zastygłem w bezruchu. Zobaczyłem – a może tylko tak mi się zdawało – jakby jakieś dziwne falowanie daleko na południu; doszedłem do wniosku, że na poziomie drogi do Ipswich wyłania się z miasta jakaś ogromna horda. Odległość była duża, nie mogłem więc nic dojrzeć dokładnie, ale nie podobał mi się wygląd tej poruszającej się kolumny. Był to ruch zanadto rozfalowany, a odblask zbyt jaskrawy w promieniach zachodzącego księżyca. Odnosiłem wrażenie, że słyszę też jakieś odgłosy – mimo że wiatr wiał w przeciwnym kierunku – odgłosy zwierzęcego skrobania i wrzasków jeszcze gorszych niż te, które niedawno słyszałem. Przez głowę przemknęły mi najrozmaitsze domysły, niezbyt przyjemne. Mimo woli pomyślałem o tych najprzeróżniejszych typach ludzkich w Innsmouth, ukrytych podobno

w rozpadających się już starych kanałach przy nadbrzeżu. Pomyślałem też o grupie pływaków, których dostrzegłem na morzu. Szacując tę gromadę widoczną z daleko, jak również wszystkie te, które pokrywały teraz okoliczne drogi, doszedłem do wniosku, że liczba ścigających mnie jest o wiele za duża jak na tak wyludnione miasto.

Skąd wzięły się te wielkie tłumy? Czyżby stare, niezaplombowane kanały zapełnione były pokrętnym, nie przynależącym do żadnej kategorii i przez nikogo nie podejrzewanym życiem? A może rzeczywiście jakiś niewidzialny statek przywiózł cały legion nieznanych przybyszów na tę piekielną rafę? Kim są wobec tego? Dlaczego się tutaj znaleźli? Jeżeli taka kolumna obcych przybyszów grasowała na drodze do Ipswich, to czy patrole na innych drogach też zostały wzmocnione?

Wszedłem w zarośla wykopu kolejowego i posuwałem się powolnym krokiem, gdy nagle znowu spowił mnie ciężki, odrażający zapach ryb. Czyżby wiatr zmienił kierunek na wschodni, wiejący wprost od morza w stronę miasta? Pewnie tak, bo teraz usłyszałem jakieś gardłowe pomruki z tamtej właśnie strony, dotąd zupełnie cichej. Dochodziły mnie jeszcze inne odgłosy – coś w rodzaju zbiorowego trzepotania i tupotu, które pobudzały wyobraźnię do granic wytrzymałości. Nie mogłem się pozbyć jakichś pozbawionych logiki myśli na temat tej nieprzyjemnie falującej kolumny na drodze do Ipswich.

Po chwili smród i gwar nasiliły się jeszcze bardziej, więc zatrzymałem się drżąc na całym ciele, rad, że mam kryjówkę w wykopie. Przypomniałem sobie, że właśnie tutaj droga do Rowley podchodzi bardzo blisko do starej linii kolejowej, tuż przed skrzyżowaniem i zakrętem na zachód. Coś się poruszało wzdłuż tej drogi, położyłem się więc płasko, aż przejdzie i zniknie. Wdzięczny byłem niebiosom, że te kreatury nie mają ze sobą psów do tropienia – pewnie zresztą byłoby to niemożliwe na terenie tak

cuchnącym rybami. Przycupnąwszy pośród krzaków w piaszczystym dole czułem się raczej bezpieczny, choć wiedziałem, że moi prześladowcy będą przechodzić naprzeciwko mnie w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Mogę ich zobaczyć, ale oni mnie nie zauważa, chyba że przez jakiś niefortunny przypadek.

A jednak wzdragałem się przed ich widokiem. Widziałem przed sobą z bliska oświetlony księżycem teren, przez który będą przechodzić, i pomyślałem, że to miejsce może ulec bezpowrotnemu skażeniu. Są to, być może, najbardziej zwyrodniałe istoty miasta Innsmouth, których lepiej byłoby nie zachować w pamięci.

Smród stał się nie do zniesienia, a hałas był nieprzerwanym harmiderem rechotu, ujadania i poszczekiwania, co wzięwszy razem bynajmniej nie przypominało ludzkiej mowy. Czyżby to rzeczywiście były głosy ścigających mnie prześladowców? A może jednak mają ze sobą psy? Nie udało mi się zauważyć żadnych zwierząt w Innsmouth. Trzepot i szuranie niemal mnie ogłuszały, uznałem, że chyba nie zdołam spojrzeć na te zdegenerowane stwory. Postanowiłem przez cały czas trzymać oczy zamknięte, dopóki wszystkie te odgłosy nie oddalą się na zachód. Horda znajdowała się już w pobliżu – powietrze przesycone było ich ostrym warczeniem, a ziemia aż się trzęsa od kroków stawianych w niespotykanym rytmie. Dech mi prawie zapało i całą siłą woli nie otwierałem oczu.

Nawet teraz nie mogę powiedzieć, czy to, co nastąpiło, było straszną rzeczywistością, czy też koszmarną halucynacją. Późniejsza działalność rządu – na skutek moich pełnych przerażenia próśb – potwierdza straszną prawdę. Ale czyż halucynacja nie może się zdarzyć pod wpływem hipnotycznego czaru, jaki rzuca to stare, widmowe miasto? Miejsca takie mają dziwne właściwości, a spuścizna obłąkańczej legendy może działać na

wyobraźnię nie tylko jednego człowieka, zwłaszcza pośród wymarłych, cuchnących ulic, zbutwiałych dachów i kruszących się wieżyc. Czyż nie jest to możliwe, że źródło obecnego, a tak zaraźliwego szaleństwa czai się w głębiach tego widma, jakie rozciąga się nad Innsmouth? Któż może być pewien rzeczywistości po wysłuchaniu opowieści starego Zadoka Allena? Funkcjonariusze rządowi nie znaleźli biednego Zadoka ani nawet żadnego po nim śladu. Gdzie kończy się szaleństwo, a zaczyna rzeczywistość? Czyż nie jest możliwe, że nawet ten mój ostatni strach i wizje były po prostu złudzeniem?

Muszę jednak opowiedzieć, co widziałem, jak mi się zdaje, owej nocy w blasku szyderczego księżyca na drodze do Rowley, tuż na wprost siebie, kiedy leżałem pośród krzaków dzikiej róży, w pustym wykopie kolejowym. Oczywiście nie dotrzymałem postanowienia, że nie otworzę oczu. Z góry było to skazane na niepowodzenie, bo kto by uleżał z zamkniętymi oczami, kiedy cały legion pochylonych, ujadających stworów nieznanego pochodzenia przesuwiał się z rozgłośnym trzepotem zaledwie w odległości pięćdziesięciu metrów?

Wydawało mi się, że jestem przygotowany na najgorsze, i rzeczywiście powinienem być, zważywszy na to, co już przedtem widziałem. Inni moi prześladowcy byli niesamowicie wynaturzeni, nie powinienem więc mieć oporów, aby zobaczyć również i te postacie, w których nie było nawet śladu normalności. Nie otworzyłem jednak oczu, dopóki nie rozległ się ochrypły jazgot na wprost mnie. Zdałem sobie sprawę, że długi sznur tych stworów musi być widoczny w miejscu, gdzie zbocze wykopu łączy się z drogą przecinającą trakt, wtedy już nie potrafiłem się oprzeć pokusie, bez względu na to, jaka potworność objawi mi łypiący pożądlwym okiem księżyc.

Był to koniec – koniec wszystkiego, co pozostało mi w życiu na tej ziemi, koniec spokoju i wiary w integralność przyrody z ludzkim umysłem.

Wszystko, co mogłem sobie wyobrazić – nawet to, co zawdzięczam obłąkańczej opowieści Zadoka w sensie dosłownym – nie dałoby się porównać z tą demoniczną, bluźnierczą wprost rzeczywistością, jaką ujrzałem, czy też wydawało mi się, że ujrzałem. Na razie tylko o tym wspominał, później muszę opisać już bez osłonek. Możliwe to, aby nasza planeta spłodziła coś takiego i aby ludzkie oko naprawdę oglądało to, co dotychczas znane było tylko rozgorączkowanej fantazji i nie mającej znaczenia legendzie?

A jednak widziałem ich, ciągnących niezliczonym strumieniem – wśród trzepotu, podskoków, rechotania i beczenia – przy widmowym księżycu w groteskowej, złośliwej sarabandzie niesamowitej nocnej mary. Niektórzy mieli po głowie wysokie tiary z tego nieznanego biało-złotego metalu... inni jakieś dziwne szaty... a jeden, idący na czele, ubrany był w niesamowity, czarny płaszcz i spodnie w paski, miał też filcowy kapelusz zatknięty na czymś, co pozbawione było kształtu, a co miało być głowa.

Dominował wśród nich kolor szarzielony, choć brzuchy mieli białe. Ich ciała były lśniące i oślizgłe, na grzbietach mieli łuski. Nie wydaje się, aby mogli mieć cokolwiek wspólnego z antropologią, zaś ich głowy przypominały ryby, mieli też wielkie, wyłupiaste oczy, wiecznie otwarte. Po bokach szyi widniały ruchome skrzela, a ich długie szpony połączone były błoną pławną. Podskakiwali nieregularnie, czasem na dwóch kończynach, czasem na czterech. Zadowolony byłem, że nie mają ich więcej. Ich rechot i ujadanie, mające spełniać rolę artykułowanej mowy, robiły o wiele gorsze wrażenie, aniżeli pozbawione wyrazu twarze.

Choć były to straszliwe potwory, nie wydawały mi się obce. Zbyt dobrze wiedziałem, czym są... bo czyż pamięć o tej złowieszczej tiarze w Newburyport nie była jeszcze świeża? Kiedy zobaczyłem te bluźniercze żaboryby, ohydnie ukształtowane – żywe i straszne – zrozumiałem, co ten

przygarbiony, z tiarą na głowie kapłan w mrocznej krypcie kościoła mi przypominał. Ich liczebność była nieodgadniona. Wydawało mi się, że są ich całe tabuny, bo przecież moje przelotne spojrzenie mogło objąć tylko niewielka ich część. Po chwili wszystko zniknęło mi z oczu, bo, na szczęście, zemdlałem po raz pierwszy w życiu.

.V.

Lekki deszczyk przywrócił mnie do przytomności w zarośniętym gąszczem wykopie kolejowym. Nastął już dzień i kiedy chwiejnym krokiem wydostałem się na drogę, w bagnie nie znać już było żadnych śladów. Przyprawiający o mdłości zapach ryb zniknął, rozpadające się dachy Insmouth i pochylone strzeliste wieże majaczyły szarością na południowo-wschodnim widnokrzęgu, ale na całym tym pustym słonobagnistym terenie nie wypatrzyłem żywej duszy. Mój zegarek jeszcze chodził; okazało się, że minęło już południe. Cała ta koszmarna rzeczywistość, z którą się zetknąłem, wydawała mi się teraz niejasna, ale czułem, że u jej podłoża leży jakieś straszne zło. Postanowiłem uciekać od tego nieszczęsnego Insmouth, uprzednio jednak sprawdziłem, czy przy tak nadwerężonych siłach jestem zdolny do dalszej wędrówki. Choć byłem słaby, głodny, przerażony i oszołomiony, stwierdziłem, że mogę jednak iść dalej; i tak ruszyłem błotnistą drogą do Rowley. Nim zapadł wieczór, dotarłem do wsi, w której mnie nakarmiono, a także godziwie odziano. Zdążyłem na wieczorny pociąg do Arkham i następnego dnia odbyłem długą i poważną rozmowę z urzędnikami państwowymi; potem powtórzyłem wszystko w Bostonie. Zasadnicze elementy tych rozmów znane są ogółowi, ja zaś, dla odzyskania równowagi, życzyłbym sobie, aby

już nic więcej nie było do powiedzenia. Jakieś szaleństwo chyba mnie ogarnia, a jednocześnie jeszcze większy lęk... może nawet coś jeszcze bardziej niepojętego.

Nietrudno sobie wyobrazić, że zrezygnowałem z dalszej wytyczonej trasy podróży, A tak bardzo liczyłem na ciekawe doznania widokowe z dziedziny architektury i dawnej przeszłości. Nie miałem też już odwagi oglądać tego dziwnego klejnotu, jaki podobno znajdował się w Miskatonic University Museum. Urozmaiciłem sobie jednak pobyt w Arkham zebraniem genealogicznych notatek, które od dawna mnie interesowały; były to, co prawda, bardzo pobieżne dane, ale mogły mi się przydać później, kiedy znajdę czas na ich zestawienie i skodyfikowanie. Opiekun Stowarzyszenia Historycznego – pan E. Lapman Peabody – uprzejmie służył mi pomocą i wyraził niezwykle zainteresowanie, kiedy powiedziałem mu, że jestem wnukiem Elizy Orne z Arkham, która urodziła się w 1867 roku i poślubiła Jamesa Williamsona z Ohio mając lat siedemnaście.

Mój wuj, a brat mojej matki, był prawdopodobnie w Arkham wiele lat temu w tej samej sprawie co ja; a rodzina mojej babki była zdaje się przedmiotem miejscowego zainteresowania. Pan Peabody powiedział, że wiele mówiono na temat małżeństwa jej ojca, Benjamina Orne, tuż po Wojnie Domowej, ponieważ zdziwienie budzili przodkowie jego wybranki. Była podobno sierotą po Marshach z New Hampshire, a kuzynką Marshów z Essex Country, ale uczyła się we Francji i raczej nie znała swojej rodziny. Prawny opiekun ulokował jej pieniądze w bostońskim banku, które były przeznaczone na jej utrzymanie, a także francuskiej guwernantki. Nikt w Arkham nie znał nazwiska tego opiekuna, o którym z czasem ślad zaginął, i guwernantka przejęła jego rolę na zasadzie polubownej umowy. Francuzka, nie żyjąca już od dawna, milczała na ten temat, a podobno wiedziała znacznie więcej, niż mówiła.

Najbardziej jednak zdumiewał wszystkich fakt, że nie można było umiejscowić rodziców tej młodej dziewczyny – Enoch i Lydia (z domu Meserve) Marsh – wśród znanych rodzin w New Hampshire. Wielu przypuszczało, że była córką któregoś z tych głośnych Marshów, miała bowiem tak charakterystyczne dla nich oczy. Jeszcze większym zaskoczeniem była jej wczesna śmierć przy urodzeniu mojej babki – która była jej jedynym dzieckiem. Mając już ustalony, niezbyt przyjemny stosunek do samego nazwiska Marsh, niechętnie przyjąłem wiadomość, że przynależy ono do genealogicznego drzewa moich przodków. Nie sprawiło mi też przyjemności, kiedy pan Peabody napomknął, że i ja mam oczy Marshów. Ale wdzięczny mu byłem za wszystkie informacje, które z pewnością okażą się dla mnie pożyteczne. Wziąłem też ze sobą swoje notatki, a także wykaz przepisanych z ksiąg danych odnośnie rodziny Orne'ów.

Prosto z Bostonu pojechałem do domu, do Toledo, a potem spędziłem miesiąc w Maumee, żeby przyjść do siebie po tej strasznej przygodzie. We wrześniu pojechałem do Oberlin, na ostatni rok studiów, i aż do czerwca pochłonięty byłem nauką i różnymi innymi sprawami, tylko od czasu do czasu wizyty przedstawicieli rządowych w związku z kampanią, rozpoczętą na skutek mojego zeznania, przypominały mi o tym, co przeżyłem. Mniej więcej w połowie czerwca, a w rok po pobycie w Innsmouth, spędziłem tydzień u rodziny matki w Cleveland; tam sprawdziłem moje genealogiczne dane z różnymi notatkami, wiadomościami przekazanymi ustnie i tym, co pozostało w spadku, chcąc sporządzić dokładniejszy wykres.

Nie było to zadanie przyjemne, gdyż atmosfera w domu Williamsonów zawsze mnie przytłaczała. Panowało tam jakieś niezdrowe napięcie i moja matka nigdy nie zachęcała mnie do odwiedzania jej rodziców, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, natomiast chętnie widziała u nas w Toledo swego ojca.

Urodzona w Arkham babka wydawała mi się dziwna, prawie że mnie przerażała i wcale nie bolałem nad tym, kiedy całkiem zniknęła. Miałem wtedy osiem lat i mówiono, że zrozpaczona uciekła z domu po samobójstwie mojego wuja Douglasa, a jej najstarszego syna. Zastrzelił się po podróży do New England, tej właśnie podróży, o której wspomniano mi w Stowarzyszeniu Historycznym w Arkham.

Był podobny do babki i też go nie lubiłem. Mieli jakieś dziwne spojrzenie, nigdy nie mrużyli oczu i czułem się w ich obecności nieswojo. Moja matka i wuj Walter wygadali inaczej. Przypominali ojca, ale już biedny kuzyn Lawrence – syn wuja Waltera – był niemal wiernym wizerunkiem babki; z powodu złego stanu zdrowia umieszczono go na stałe w zamkniętym sanatorium w Canton. Od czterech lat go nie widziałem, ale wuj wspominał kiedyś, że stan jego zdrowia i umysłu jest bardzo niedobry. To zmartwienie stało się zapewne przyczyną śmierci jego matki przed dwoma laty.

Tylko więc dziadek i jego owdowiały syn mieszkali teraz w Cleveland, ale wspomnienie przeszłości ciążyło nad ich domem. Wciąż nie lubiłem tego miejsca i starałem się jak najszybciej przeprowadzić tam mój wywiad. Różne dokumenty i to, co zostało przekazane ustnie, w dużej mierze uzupełnił jeszcze opowiadaniem dziadek, ale jeśli chodzi o wieści na temat Orne'ów, musiałem głównie polegać na wuju Walterze, który przedstawił mi całe swoje zbiory w postaci notatek, listów, wycinków, fotografii i miniatur, wszystkiego, co otrzymał w spadku.

Kiedy przeglądałem listy i zdjęcia, jakie pozostały po Orne'ach, przeraziłem się swoimi przodkami. Jak już wspomniałem, babka i wuj Douglas zawsze wywoływali we mnie jakiś niepokój, ale teraz, kiedy patrzyłem na ich fotografie, budziła się we mnie odraza, byli jacyś zupełnie

inni. Z początku nie mogłem tego zrozumieć, ale stopniowo zacząłem podświadomie porównywać, choć za wszelką cenę starałem się odrzucić nawet najłżejsze przypuszczenie. Tak charakterystyczny wyraz ich twarzy miał teraz dla mnie zupełnie inną wymowę niż dawniej, a gdybym się głębiej nad tym zastanowił, na pewno napełniłoby to mnie panicznym lękiem.

Największego szoku doznałem jednak wtedy, kiedy wuj pokazał mi biżuterię Orne'ów, przechowywaną w depozycie w banku. Niektóre rzeczy były misternie i ciekawie wykonane, lecz w jednej szkatułce znajdowały się klejnoty mojej tajemniczej prababki, a wuj nie miał ochoty jej otwierać. Powiedział, że są dziwaczne i brzydkie i jak się orientuje, nikt ich nigdy nie nosił, choć babka lubiła na nie czasem popatrzeć. Wiązała się z nimi jakaś legenda, że przynoszą nieszczęście, a francuska guwernantka prababki powiadała, że nie należy ich nosić w Nowej Anglii, bezpiecznie można je tylko zakładać w Europie.

Odwijając te klejnoty powoli i niechętnie wuj ostrzegał mnie, że będę zaskoczony ich niespotykanym i odrażającym wyglądem. Artyści i archeologowie, którzy je widzieli, ocenili wysoko ich mistrzowską robotę i niezwykły egzotyzm, ale nie potrafili określić, z jakiego materiału zostały wykonane, ani też zakwalifikować do jakiegokolwiek znanej na świecie tradycyjnej sztuki. Znajdowały się tam dwie bransoletki, tiara i coś w rodzaju broszy, na której wyryta była płaskorzeźba z motywami tak wymyślnymi, że trudno było na nie patrzeć.

Przez cały czas trzymałem na wodzy uczucia, ale twarz zdradziła narastające we mnie przerażenie. Wuj zaniepokoił się moim wyglądem i przestał odwijać klejnoty. Na moją prośbę w końcu jednak odwinął je wszystkie, ale bardzo niechętnie. Spodziewał się, że okażę zdumienie na widok tiary, nie spodziewał się jednak mojej reakcji. Ja zresztą też nie, bo

wydawało mi się, że jestem przygotowany na to, co zobaczę. Ja natomiast, nie powiedziawszy ani słowa, zemdlałem, podobnie jak rok temu w wykopie kolejowym, ukryty w gęstwinie dzikich róż.

Od tego dnia życie moje stało się jedną wielką udręką, pełną lęku i nieustannych rozważań. Już sam nie wiedziałem, ile w tym wszystkim jest szkaradnej prawdy, a ile szaleństwa. Moja prababka wywodziła się z Marshów nieznanego pochodzenia, zaś pradziadek mieszkał w Arkham... a czy to Zadok nie powiedział, że córka Obeda Marsha i jego żony-potwora została wydana podstępnie za mąż za młodego człowieka z Arkham? i co miała znaczyć uwaga starego pijaka o podobieństwie moich oczu do oczu kapitana Obeda? Także w Arkham kustosz Stowarzyszenia Historycznego powiedział, że mam oczy Marshów. Czyżby Obed Marsh był moim prapradziadkiem? Kim wobec tego była... albo czym... moja praprababka? Może to jednak jest jakieś szaleństwo? Te biało-złote klejnoty mógł przecież kupić ojciec mojej prababki od jakiegoś marynarza z Innsmouth. A spojrzenie wytrzeszczonych oczu babki i wuja, który popełnił samobójstwo, mogło być tylko moją fantazją... czystą fantazją. rozbudzoną pobytem w Innsmouth, który takim mrokiem spowił moją wyobraźnię. Ale dlaczego wuj popełnił samobójstwo prześledziwszy losy naszych przodków w Nowej Anglii?

Przez ponad dwa lata walczyłem z tymi myślami i nawet z pewnym powodzeniem. Ojciec załatwił mi posadę w zakładzie ubezpieczeń i zatopiłem się w pracy biurowej bez reszty. Jednakże zimą 1930-1931 zaczęły mnie nawiedzać straszne sny. Z początku tylko co pewien czas i niezbyt wyraźnie, ale w miarę mijających tygodni zaczęły występować coraz częściej i coraz wyraziściej. Otwierały się przede mną ogromne połacie wody, a ja zdawałem się wędrować pośród zatopionych, tytanicznych portyków i labiryntów o pokrytych wodorostami cyklopowych

murach, mając za współtowarzyszy jakieś groteskowe ryby. Potem zaczęły się pojawiać inne postacie, a ja budziłem się zdjęty niesamowitym lękiem. Podczas snu zupełnie się ich nie obawiałem – byłem jednym spośród nich; miałem ich nieczłowieczy wygląd, poruszałem się w wodzie na ich sposób i zanosłem modły w ich świątyniach na dnie morza.

Działo się w tych snach o wiele więcej, niż zdołałem zapamiętać, ale byłoby to wystarczające, aby mnie uznać za obłąkanego albo geniusza, gdybym kiedykolwiek ośmielił się to opisać. Coś naprawdę straszego usiłowało wyrzucić na mnie swój wpływ, czułem to, wyrwać mnie z normalnego życia i wciągnąć w niepojętą otchłań mroku i nieznanego świata. Miało to na mnie wręcz okropny wpływ. Coraz bardziej podupadałem na zdrowiu, co odbijało się też na moim wyglądzie, aż w końcu zmuszony byłem zrezygnować z pracy i żyć spokojnie, w odosobnieniu, jak inwalida. Na skutek wyczerpania nerwowego chwilami, jak zauważyłem, nie mogłem zamknąć oczu.

Wtedy gorączkowo zacząłem się przeglądać w lustrze. Nie jest przyjemnie obserwować zmiany, jakie czyni choroba, ale w moim przypadku miało to podłoże o wiele bardziej skomplikowane. Zauważył to także mój ojciec, bo zaczął mi się coraz częściej przyglądać z wyrazem zdumienia i lęku na twarzy. Co się ze mną dzieje? Czyżbym zaczynał być podobny do babki i wuja Douglasa?

Którejś nocy śniło mi się, że spotkałem się z moją babką na dnie morza. Mieszkała w fosforyzującym pałacu o wielu tarasach, otoczonym ogrodem jakby zarażonych trądem koralowych krzewów i groteskowych wieloramiennych kryształowych kwiatów. Powitała mnie serdecznie, choć równie dobrze mógł to być uśmiech ironiczny. Zmieniła się – jak wszyscy w wodzie – i oznajmiła mi, że nigdy nie umarła. Wybrała się natomiast tam, gdzie syn jej wszystkiego się dowiedział, a potem przeniosła się do świata,

którego cudami – przeznaczonymi także i dla niego – wzgardził, zabijając się z pistoletu. Ten świat przeznaczony jest także i dla mnie – nie zdołam przed nim uciec. Nigdy nie umrę, zawsze będę żył wśród tych, którzy żyli już wtedy, kiedy jeszcze człowieka nie było na ziemi.

Spotkałem także jej babkę. Od osiemdziesięciu tysięcy lat Pth'thya-i'yi żyje w Y'ha-nthlei i tam właśnie udała się po śmierci Obeda Marsha. Y'ha-nthlei nie zostało zburzone przez ludzi żyjących na ziemi, choć strzelali się w morzu śmierć. Zostało uszkodzone, ale nie uległo zniszczeniu. Jego mieszkańcy są niezniszczalni, choć czasem zdarza się, że paleogeniczne czary dawno zapomnianych starych Bóstw obejmują nad nimi władzę. Obecnie spoczywają, ale któregoś dnia, o ile nie zapomną, znowu powstaną, aby złożyć daninę Wielkiemu Cthulhu, jakiej żąda. Ich nowe miasto będzie większe niż Innsmouth. Zaplanowali, że się rozprzestrzenia, a na razie wybudowali sobie to miasto przejściowo, na drugie musza jeszcze poczekać. Za śmierć ludzi na ziemi, do której się przyczyniłem, muszę ponieść karę, ale nie będzie ciężka. W tym śnie ujrzałem po raz pierwszy Shoggothy, ale w tym momencie obudziłem się z przeraźliwym krzykiem. Kiedy spojrzałem w lustro tego ranka, nie miałem już wątpliwości, że całkiem przybrałem wygląd mieszkańca Innsmouth.

Dotychczas nie odebrałem sobie życia jak wuj Douglas. Kupiłem pistolet automatyczny i nawet już się przymierzałem, ale nawiedzające mnie ostatnio sny powstrzymały mnie od tego kroku. Moje napięcie nerwowe i lęk słabną powoli, czuję, jak nieznane głębie mórz przyciągają mnie do siebie, już się ich nie boję. Słyszę i wykonuję w snach dziwne rzeczy, a budzę się zachwycony, nie w lęku. Nie wierzę, abym musiał czekać na całkowitą przemianę jak inni. Jeślibym czekał, ojciec zamknąłby mnie pewnie w zakładzie, tak jak zamknięto biednego kuzyna. Oszalamiające, niesłychane i wspaniałe rzeczy oczekują mnie tam, w głębinach, i wkrótce

postaram się je odnaleźć. lä – R'lyeh! Cthulhu fhagn! lä lä! Nie, ja się nie zabiję, nic mnie do tego nie skłoni!

Zorganizuję ucieczkę mego kuzyna z tego domu szaleńców w Cantonie i obaj wybierzemy się do spowitego cudowną tajemnicą Innsmouth. Popłyniemy do rafy i zanurzymy się w czarną otchłań, dotrzemy do usianego kolumnami miasta Cyklopów Y'ha-nthlei i w tej siedzibie Morskich Istot będziemy mieszkać w chwale i wspaniałościach na wieki.